Myśl Polska

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU

POLISH THOUGHT—FORTNIGHTLY REVIEW

Nr 48 15 czerwca, 1943 Cena (Price) 1/-

FRANCJA NA HORYZONCIE

Utworzenie francuskiego Komitetu Narodowego Oswobodzenia stanowi — jakiekolwiek będą jego trudności i perypetje — ważne wydarzenie polityczne, bo stawia kres położeniu, w którym na miejscu Francji była pustka. Stan ten był niezmiernie groźny. On to w r. 1940 wywołał całkowite przewrócenie sił na Morzu Sródziemnym i, co za tym poszło, utratę imperialnej drogi śródziemnomorskiej dla Anglji (ostatnie zdobycie obu wysp, Pantelarii i Lampeduzy, przywraca tu stan rzeczy z przed *kolapsu* Francji). On też w naszych oczach, prawie że jeszcze wczoraj, umożliwiał istne korsarstwo polityczne w planowaniu świata i Europy, pod postacią dzielenia tego świata i tej Europy między kierownicze wpływy czterech wielkich mocarstw, wśród których nie było wprawdzie Francji, ale były Chiny. . .

Dziś taki rozdział sił staje się niemożliwym, bo zbyt jaskrawo krótkowzrocznym.

*

Nie wynika z tego jeszcze, by sprawy francuskie były jasne, a stanowisko mocarstwowe Francji przywrócone.

Francuski rząd *de facto*, w najlepszym nawet razie, nosić będzie *de iure* miano i charakter Komitetu. Nie jest to katastrofalne samo przez się: historia zna takie Komitety Narodowe, które miały wpływ silniejszy i odegrały rolę przemożniejszą niż Rządy, zwłaszcza jeśli te Rządy były nienarodowe. Stanowi to jednak pewną *matter of fact*, pewną rzeczywistość polityczną, z którą się trzeba liczyć, bo stwarza ona warunki, wśród których trzeba politykę wewnętrzną i zwłaszcza międzynarodową prowadzić.

Tak się tłumaczy, że angielskie i amerykańskie głosy bardzo wyraźnie i bardzo szybko ten charakter zawiązującego się Komitetu podkreśliły. Komitet ten główną swą siłę formalną i prawną czerpie z faktu, że znajduje się już oto na ziemi francuskiej, nie kolonialnej tylko, ale francuskiej choć afrykańskiej. Algier i Korsyka stanowią bowiem integralną część Francji, na równi z innymi departamentami i należą więc nie do Imperium ale do macierzy wprost i bezpośrednio. Cała reszta tego Imperium jest już — poza Indochinami — oswobodzona, ale Komitet Oswobodzenia nie rezyduje przecież ani w Marokku, ani w Tunisie, ani w Dakarze, ani na Madagaskarze ani w Syrii, ani na Antylach, ale właśnie — we Francji, w Algierze. Anteusz — zda się—już już koniuszkiem palca dotyka swej ziemi, już rośnie w siły, już stanie się niezwyciężony . . .

Nie jest to wszystko jednak ani jeszcze pewne ani jeszcze takie jasne. Pozostaje nadal faktem niestety nie do usunięcia, iż Francja kontynentalna jest niewolna i pozbawiona głosu. Co gorsza ma ona głos fałszywy bo przytłumiony, głos nawet nie swój, — bo niemiecki, jeśli idzie o Radio-Paris i inne stacje nadawcze, pracujące pod dyktatem niemieckim. A ta Francja 40-milionowa ma jednak — w prawnym znaczeniu — swój Rząd i swoją administrację, choć nie są to ani trochę władze wolne. Rząd ten, jakkolwiekby nie było, ma swych posłów i agendy we wszystkich krajach neutralnych. Mąci to bardzo obraz prawny i prawną rzeczywistość: nawet status Martyniki jest na skutek tego dalej niewyjaśniony.

Co gorsza, sam głos *narodu* jest przyciszony i przytłumiony. Nie bardzo można w jego imieniu o wszystkim dziś mówić — w Algierze. Można niewątpliwie za niego przemawiać, jeśli idzie o Niemcy jako wroga na śmierć i życie. Nie można już — jeśli chodzi o sprawy przyszłego ustroju Francji, albo problem przyszłego ustroju Europy lub stosunku do Rosji i komunizmu, którego się Francja na równi z całą Europą obawia jako śmiertelnego niebezpieczeństwa.

Komitet Algierski miałby więc wielkie trudności, gdyby chciał arrogować sobie prawa Rządu, — i to nawet w wypadku, gdyby był zgodny i jednolity w swych decyzjach.

*

Historia powstania Komitetu Oswobodzenia była niezmiernie trudna, uciążliwa i dramatyczna. Jego funkcjonowanie, jak dotąd, jest równie dramatyczne, uciążliwe i trudne. Stosunki między obu generałami - prezesami układają się w rodzaj klasycznej tragedji francuskiej, w której to następują po sobie perypetie uśmiechu i pogodzenia, ale też i unikania się i nierozmawiania ze sobą. Z frontu algierskiego od czasu do czasu zjawiają się komunikaty: "nie było dziś spotkania generała Giraud z generałem de Gaulle'm" . . .

Jest to ponad wyraz przykre, prawie że trochę śmieszne — mimo, że o tak poważne sprawy idzie. Ma rację *Sunday Times* gdy pisze 13 b.m.: "w Londynie panuje głębokie rozczarowanie (*deep disappointment*), iż pozwolono tym sprawom dojść do takiego punktu, gdzie nowoutworzona jedność francuska zastała zagrożona, a nawet w pewnej mierze zdyskredytowana". To ostatnie twierdzenie jest niestety prawdziwe: przy najlepszym nawet rozwiązaniu sytuacji, coś przykrego się po niej zostanie, coś z posmaku i niesmaku.

Co na to wpłynęło? Mówi się najczęściej o różnicach osobistych między obu generałami. Jest w tym dużo prawdy, ale nie ma całej prawdy.

Różnice osobiste płyną z temperamentów, zapewne, ale i z odrębnie przebieżonych lat wojennych. Decyzja de Gaulle'a z czerwca 1940 roku jest aktem dużej odwagi. Nigdy nie należy o tym zapominać. Pozwoliła ona tym Francuzom, którzy nie chcieli broni złożyć, na odnalezienie się, zgrupowanie i dalszą walkę. Był to głęboki oddech i dla przyjaciół Francji, którzy nie mogli pogodzić się z myślą o jej kapitulacji.

O ten mocny czyn zahaczyła się niestety polityka lat następnych. Generał de Gaulle stawał się z konieczności coraz mniej generałem a coraz więcej politykiem. Wystąpienia jego były energiczne ale i gwałtowne. Stosunek do Vichy był niepolityczny, w momencie, gdy gra szła o Afrykę Północną, której jednak Weygand Niemcom nie dał. Postawa ta prowadziła do tarć z polityką amerykańską przed jej zerwaniem z Vichy. Ameryka miała rację, jak uczy historia listopada 1942 roku. Epizod Darlana i następne miesiące pogłębiły te różnice i tarcia. Zaczęło się używać sloganu, że de Gaulle jest kandydatem Anglii, zaś Giraud Ameryki. Slogan ten był napewno i pospieszny i zbyt symplicystyczny. Generał Giraud cieszył się zaufaniem nietylko Ameryki, ale przedewszystkim Francji, dla której był uosobieniem bohaterskiego oporu *malgre tout*: wszakże w czasie obu wojen światowych zdołał się wydostać z niewoli niemieckiej. Skądinąd zaś surowy ton prasy angielskiej wobec Generała de Gaulle'a godzi w pierwszą część rzeczonego sloganu.

I tak lewicowa *Tribune* — lewica jest na ogół dobrze nastawiona wobec de Gaulle'a za jego dobry stosunek do Moskwy —

z 28 maja zamieściła znamienną paralelę Sikorski-de Gaulle, w której podkreślono, że aczkolwiek obaj oni są wojskowymi i nie demokratami, to jednak "należy stwierdzić, iż Generał Sikorski coś niecoś pozostaje w tyle za praktykami generała de Gaulle'a: Polacy nie potrzebują oto ślubować mu osobistej wierności". Nie wchodzimy tu w meritum tego gorżkiego wyrzutu pod adresem Generała de Gaulle'a i kwaśnego komplementu pod adresem Generała Sikorskiego.

Jaskrawszą znacznie jest krytyka n.p. tak umiarkowanego i taktownego *Spectatora* z 4 czerwca: "ogólne wrażenie, czytamy tam, jest takie, że Generał Giraud okazał się *reasonable*, a Generał de Gaulle *unreasonable*. Wszystkie koncesje przedkonferencyjne wychodziły od Generała Giraud, zaś Generał de Gaulle nie zadawalał się nastawaniem na różne proskrypcje (*various proscriptions*) — sprawa Peyroutona — ale podobno i występował przeciw nominacji Generała Georges'a . . . Trudno uwierzyć, aby nie dało się było wszystkiego załatwić w jeden dzień między Generałem Catroux i panem Massigli z jednej strony, a Generałem Giraud i panem Monnet z drugiej. Wszystkie doświadczenia ostatnich dwunastu miesięcy i więcej odkryły w Generale de Gaulle sztywnego i nieustępliwego negocjatora."

Times z 12 b.m. nazywa nawet metody generała de Gaulle'a "wprost gwałtownymi, prawie brutalnymi" (*violent almost brutal*) . . .

Zaiste głosy te nie pozwalają na uważanie de Gaulle'a za kandydata Anglii. . . . Każą natomiast powiedzieć conajmniej, iż wie on dobrze o co mu chodzi. Z czego nie wynika — nie wynika jeszcze — by Generał Giraud nie wiedział czego chce, — choć ustępuje dalej i n.p. poświęcił swego ministra informacji, znanego nam redaktora *France Libre*, p. Labarthe'a.

Poza tymi przykrymi sprawami osobistymi są jednak różnice głębsze.

Tak więc słyszymy, że chodzi o zasadnicze rozróżnienie między najwyższymi resortami wojskowymi: czy głownodowodzący ma być podporządkowany ministrowi wojny, jak chce de Gaulle? czy też ten normalny porządek rzeczy musi być z konieczności zmieniony na czas wojny, jak chce Generał Giraud? Ministrem wojny miałby bodaj zostać Generał de Gaulle, któryby — jak słychać — chętnie oddał główne dowództwo Giraudowi. *Sunday Times* nie wdając się w te zawikłane arkana stwierdza tylko, że przez cały czas trwania Wolnych Francuzów Generała de Gaulle jakoś tych rozgraniczeń wcale nie bylo . . .

Ale bodaj i tu nie jesteśmy jeszcze u sedna sprawy. Nie można się oto oprzeć wrażeniu, że pod pokrywką różnic i osobistych i fachowo-wojskowych, kryją się rozbieżności polityczne i oglądania się na pomost ku przyszłej Francji.

Ta jest po dawnemu — zagadkowa. I inaczebyć nie może. Właśnie dlatego jest przedmiotem i marzeń i niepokojów. Staje się ona, najnaturalniejszym trybem, projekcją poglądów poszczególnych obozów i osób.

Tak więc, w londyńskim otoczeniu Generała de Gaulle'a przejawiły się u poniektórych poglądy, iż życzyć sobie należy prostej *restitutio ad integrum* z roku 1939, i to tak dalece, iż wyrażono wiarę w dalsze prawowite istnienie prezydentury Lebruna i premierostwa Renaud'a! Jest to oczywisty pogląd skrajny, ale cała atmosfera *Carlton Garden* idzie niewątpliwie w kierunku miłym republikańskiej lewicy.

Skądinąd znów i we Francji samej i w jej oswobodzonych departamentach afrykańskich, przy nienawiści do reżimu Lavala, istnieje bez wątpienia tendencja do bardzo istotnie zmienionych form ustroju, jakieby cechowały — "*Czwartą Rzeczpospolitę*".

Do tego wszystkiego dołącza się sprawa stosunku do komunizmu. Stosunki pomiędzy Gaulizmem a Moskwą są niezmiernie ciepłe. Stalin niedwuznacznie popierał stanowisko de Gaulle'a w ataku na Darlana, chronionego, jak pamiętamy, przez Amerykę. Radio *France Libre* odnosiło się zawsze z takim entuzjazmem do Moskwy, że chyba jednemu czeskiemu radiu w tym ustępowało. Komuniści algierscy zgłosili się odrazu i z entuzjazmem do de Gaulle's. Powody takiego stanu rzeczy są zapewne rozliczne. Działa tu i to, że z chwilą nastania wojny niemiecko-rosyjskiej, komuniści we Francji z dużą sprawnością organizowali opór. Niemniej taki stan rzeczy niezmiernie niepokoi francuską opinię kontynentalną i sfery algierskie

Że się nie mylimy, świadczą o tym depesze *Times'a* z 14 b.m., które w tej chwili mamy przed oczyma. Bardzo znamiennie streszczają one przyczyny niepokoju i nieufności, jakie panują w otoczeniu, powiedzmy, Girauda wobec de Gaulle'a: "Nie można zaprzeczyć, czytamy, że Generał de Gaulle i jego przyjaciele dostarczają materjału (*provide ammunition*) tym swoim przeciwnikom, którzy przemawiają w imieniu opozycji przeciw *Führer Prinzip* . . . Przypominają oni, że tydzień temu, Generał de Gaulle na meetingu mówił o zbudowaniu czwartej republiki, "opartej na odnowie" (*that of renovation*) i pytają czy aby te procedery nie są charakterystyczne dla początków każdego ruchu dyktatorialnego (*beginnings of authoritorian movements*). Wśród tych procederów wymienia się: śpiewanie pieśni patriotycznych(!), rozrzucanie ulotek z potretem leadera, obecność na sali uzbrojonych mężów z armii leadera, noszenie odznak. A skoro się wskazuje na obecność na sali również i komunistycznych przedstawicieli, odpowiedź brzmi, że właśnie z takich elementów, rozpalonych nacjonalizmem, powstają reżimy dyktatorskie" . . .

Ba, sami komuniści zabrali ostatnio głos, wydając w Algierze manifest, który w całości jeszcze nie jest w Londynie znany. Protestują tam oni oczywiście przeciw rządom osobistym, ale nie wskazują kogo właściwie mają na myśli. Manifest okazał się w pierwszy dzień Świąt Zielonych (13.VI.). Domaga się realizowania obietnic deklaracji Komitetu Wolności "W drukowanej wersji nie jest powiedziane, kogo komuniści oskarżają a kogo nawołują do czynu. Filiacja, jednakowoż, jest wszystkim znana. (*In the published version it is not stated whom the Communists blame for the hitch, or to whom they look for acts. The affiliation, however, is known to all.* (Times 14.VI.)

W chwili, gdy piszemy te słowa, obraz nowego Komitetu Narodowego Oswobodzenia przedstawia się więc raczej niepokojąco, choć powszechnie nie bierze się tego zbyt poważnie i nie wierzy się w jego rozbicie. Niewątpliwie sama już jego dwugłowość, pod postacią podwójnej prezesury obu generałów, nie rokuje dobrze o przyszłości zwłaszcza najbliższej. Przypomniano słusznie, że poza Spartą i starodawnym Rzymem niema dobrych przykładów na takie funkcjonowanie ciała najwyższego. Potrójny konsulat za Pierwszego Konsula skończył się, jak wiadomo, konsulatem jedynym. Zwłaszcza drastycznie przedstawia się taka dwugłowość przy militarnym charakterze obu kandydatów.

Trudno tedy nie zgodzić się z horoskopem Times'a: "Należy przyjąć że, jeżeli Generał Giraud będzie głównodowodzącym, a Generał de Gaulle Komisarzem dla Wojny, nie będzie łatwo znaleźć formułę, któraby jednego nie podporządkowała drugiemu. Zaś to stworzyłoby sytuację niemożliwą dla równoprawnych prezesów Komitetu, sytuację, któraby się okazała nie do zniesienia dla obu tych oficerów. Najważniejszym elementem jest jednak obupólna nieufność, której dotychczas owe kontakty nie zmniejszyły".

Najgłębszą przyczynę tej nieufności szukać właśnie należy w planach dotyczących politycznej przyszłości Francji. Wszak to co będzie naszkicowane w Afrykańskiej Francji czasu trwania wojny — będzie szukało realizacji w Europejskiej Francji tuż po wojnie . . .

Rozdźwięki te, które na wierzch wyciągnęło oswobodzenie pierwszego kąta Francji — mają głęboką wartość diagnozy dla wszystkich innych okupowanych krajów, których rządy— najściślej nawet ze swymi krajami złączone, są od nich jednakowoż tak długo odłączone. I to w momencie, kiedy to lata wojenne liczą się podwójnie.

*

Niemniej, i mimo wszelkich przeciwności, powstanie francuskiego Komitetu Narodowego Oswobodzenia ma — jak to na wstępie powiedzieliśmy, swe głębokie znaczenie. Ma wartość symbolu. Jest to jakby pierwszy błysk symbolu, błysk, którego nie chcemy tu jeszcze pasować na błyskawicę.

Rzecz w tym, że skoro tylko Francja zerwie swe pęta i odzyska swój głos, automatycznie nieledwie odzyska i swą pozycję mocarstwową. Waruje jej to samo jej położenie geograficzne. Jeśli się ma na swoim terytorium przepływające wody i Rodanu i Renu — posiada się z konieczności i węzłowe położenie na kontynencie europejskim. Jeśli się zaś ma równocześnie Imperium rozrzucone po pięciu częściach świata i obecne na trzech głównych Oceanach — posiada się z konieczności kluczowe stanowisko w polityce światowej. Zwłaszcza jeśli się ma kulturę, przeszłość i geniusz Francji.

Tragedią chwili obecnej — dla Francji i dla Europy — jest jednakowoż to, że pęta Francji są jeszcze nie zerwane. Właśnie to, a nie co innego, wpływa przemożnie na ciśnienie atmosfery algierskiej.

Pragnąć należy by ten symbol Komitetu Oswobodzenia stał się mniej wiotkim i bardziej — statecznym.

NOTY I UWAGI

POŁOŻENIE

W OSTATNIEJ swoje mowie w Parlamencie premier Churchill stwierdził, że narody Wspólnoty Brytyjskiej oraz Stanów Zjednoczonych — demokracje anglosaskie, jak je określił jeszcze innym zwrotem — nie wyczerpują się wojną, lecz — przeciwnie — rosną w siłę. "*It is an error* — mówił Premier Wielkiej Brytanii — *on the part of certain neutrals to suppose that the previously unprepared and ill-armed Anglo-Saxon democracies will emerge from this war weakened, prostrate, even though victorious. On the contrary, we shall be stronger than ever before, in force and, I trust, also in faith. It may well be that these guilty races that trumpeted the glories of war at the beginning will be extolling the virtues of peace before the end*".

Notujemy zarówno samo słuszne stwierdzenie, jak i interpelację nadziei, iż w parze z siłą militarno-materialną pójdzie też siła ducha. W tej chwili jednak najważniejsza jest uwaga, że siły anglosaskie w miarę przebiegu wojny rosną i chociaż zadania nie stają się co raz mniejsze, siły są na miarę zadań.

Sama wojna waży się w tych dniach i miesiącach. Nie wiemy, co ostatecznie ułożono w Waszyngtonie. Nie było tam przedstawicieli Związku Sowieckiego i premier Churchill odważnie wspomniał o tym brakującym ogniwie w deliberacjach waszyngtońskich. Nie opublikowano także żadnych sprawozdań z rozmów specjalnego wysłannika Prezydenta Roosevelta — b. ambasadora U.S.A. w Moskwie Daviesa — z premierem Stalinem. Wszystko, co ukazało się w prasie, to fotografia sceny pożegnalnej w Moskwie. Wszystkie *personae dramatis* tego spotkania uśmiechają się, co jednak kryje się za tymi uśmiechami? Oba mocarstwa anglosaskie wojują w Europie i na Dalekim Wschodzie, Rosja tylko w Europie . . .

Nie ulega wątpliwości, że jest w interesie mocarstw anglosaskich, by Rosja rzuciła na szalę swoje możliwości przeciwjapońskie. Prasa filorosyjska w W. Brytanii — np. *News Chronicle* — stwierdza jednak, iż wtedy Rosja utraciłaby dowóz żywności z Ameryki poprzez Pacyfik. Mało kto bowiem z t.z. szerszej publiczności uprzytamnia sobie, że okręty sowieckie kursują na szlaku Władywostok-St. Francisko i że Japończycy nie uważają tego za kontrabandę wojenną. W ten sposób Związek Sowiecki mógł łatwiej prowadzić wojnę ze sprzymierzeńcem Japonii — Niemcami, Japończycy zaś tym pewniejsi byli, że mogą wzamian za to, na razie, tym bardziej koncentrować swoje siły w kierunku południowym.

Dzisiaj jednak Japonia czuje się co raz bardziej zagrożona. Niewątpliwie jest w interesie Japonii, żeby Niemcy mogły uwolnić się od ciężaru wojny z Rosją i tym silniej wystąpić przeciw zbliżającej się ku brzegom Europy potędze Anglo-Sasów. Japonia mogła by tu wpływać na sytuację albo przez uderzenie na Rosję, albo przez doprowadzenie do porozumienia sowiecko-niemieckiego. Niewątpliwie Japonia teraz się nad tym zastanawia co wybierze. Trzeba zaś pamiętać, że to drugie zadanie, jest piekielnie trudne, i wydaje się nawet wręcz niemożliwe.

Na tym tle widzimy doskonale, jak w te światowe sprawy wchodzą sprawy polskie — w związku z postawą Rosji Sowieckiej wobec naszych praw i interesów. Polityka polska nie potrafiła doprowadzić do tego, żeby roszczenia sowieckie upadły całkowicie w ramach Narodów Zjednoczonych nie tylko prawnie, lecz i politycznie. Sprawa się waży.

*

Z mowy premiera Churchilla nie wiele można się było dowiedzieć o zamiarach i planach na przyszłość, bo ten wielki mąż stanu odznacza się tym, że w swoich oracjach woli mówić o tym co było i co jest, a nie o tym co zamierza robić. Jest to zresztą zawsze miarą polityka. Oświadczył on nawet wręcz, że nie zajmuje się przepowiadaniem. Można tylko stwierdzić z całą pewnością, że zacieśnił jeszcze bardziej węzły politycznej i militarnej współpracy ze Stanami Zjednoczonymi, że pamięta o korzyściach, jakie daje utrzymanie inicjatywy strategicznej, że nie zapomina o wartości armij sowieckich dla wspólnego zwycięstwa i że liczy się z ewentualnym załamaniem się Niemiec od wewnątrz jak pod Jeną, ale przygotowuje się do osiągnięcia zwycięstwa "wyłącznie przez twardą walkę" — "*by hard fighting alone*".

*

Jak rośnie siła Sprzymierzonych, wskazują najlepiej dane o lotnictwie amerykańskim w W. Brytanii, opublikowane nie dawno w prasie londyńskiej. Tempo tego wzrostu wynosi od 15 do 30% miesięcznie. Dowódca Ósmej Siły Lotniczej (amerykańskiej w W. Brytanii), gen. Ira C. Eaker, oświadczył przed paru dniami:

"W maju wysłaliśmy więcej niż cztery tysiące maszyn przeciw nieprzyjacielowi. Z tych ponad 1.600 były bombowcami i blisko dwa tysiące myśliwcami, na resztę zaś składały się średnie bombowce i inne rozmaite (*miscellaneous*) maszyny".

Cztery tysiące oddzielnych maszyn, używanych w operacjach w ciągu jednego miesiąca, a więc dających się użyć w pewnych warunkach nawet równocześnie — to wprost ogromna liczba. Być może, że chodzi tu tylko o 4 tysiące "*sorties*". a więc cztery tysiące operacyjnych lotów, w których te same maszyny mogły być użyte kilka razy. Gen. Eaker mówił jednak wyraźnie "*aircraft*", a nie "*sorties*".

Inny szczegół dotyczący amerykańskiego lotnictwa, a wart zanotowania, to doktryna amerykańska precyzyjnego celowania przy zrzucaniu bomb. Doktryna niemiecka, stosowana w 1940 r. przeciw Anglii z wiadomym skutkiem, trzymała się zasady, iż przy nalotach na większe cele, jak fabryki, porty, miasta i t.p. wystarczy bombardowanie całości, bez celowania dokładnego w poszczególne obiekty. Trudno przystaczać tu szczegółowe dowody na prawdziwość tezy amerykańskiej, wystarczyć musi stwierdzenie, że ma ona duże znaczenie militarne.

PLANY POWOJENNE

W związku z dobrymi prospektami militarnymi daje się zauważyć coraz szersze zainteresowanie różnych ośrodków brytyjskich sprawami układów i zadań powojennych. Bardzo ciekawą podróż poważnej osobistości brytyjskiej na Kontynent zanotował nie dawno "*Daily Telegraph*". Chodzi tu o Mr. G. Gibsona z Rady Naczelnej Kongresu Związków Zawodowych, który nie dawno spotkał się na tajnym zjeździe na Kontynencie z politykami opozycyjnymi węgierskimi, rumuńskimi i bułgarskimi, reprezentującymi "kierownicze elementy demokratyczne" swoich krajów. Sam fakt takiej inicjatywy zasługuje na uznanie, bo dowodzi zainteresowania tak poważnego ośrodka politycznego brytyjskiego, jakim są koła *Labour Party*, sprawami Europy Środkowej. Oczywiście nie znamy przebiegu rozmów, ani kierunku jaki przybrały i trudno w związku z tym coś powiedzieć. W każcym razie sugestie szły, np. co do Węgier, w kierunku wysunięcia przez socjalistów węgierskich żądań wycofania wojsk węgierskich z frontu w Rosji, zwrócenia terytoriów zagarniętych sąsiednim państwom sprzymierzonym, przeprowadzenia reform społecznych wewnętrznych w duchu ewolucyjnym oraz oświadczenia "przy pierwszej możliwej sposobności," iż Węgry wejdą do bloku środkowo-europejskiego łącznie z Polską, Czechosłowacją, Jugosławią i Grecją.

P. Gibson został skrytykowany w związku ze swoją podróżą przez *TRIBUNE* która uważa, że proponowany blok miałby ostrze antysowieckie. Nie potrzebujemy tu tłumaczyć, że twierdzenie to jest całkowicie dowolne. Jakżeż tedy w ogóle można *przywrócić* wolność ujarzmionym norodom, jeżeli narodowe państwa środkowo-europejskie nie mają mieć *wolności* rozwijania wzajemnej współpracy, uzasadnionej wspólną geografią, historią i wspólnymi niebezpieczeństwami?

Niektóre koła brytyjskie idą jeszcze dalej w planowaniu powojennym. *Times* w specjalnym fachowym artykule zajmuje się przyszłym handlem Wielkiej Brytanii z Sowietami. Warunkiem wstępnym — uważa *Times* —jest zapewnienie bezpieczeństwa przed agresją. "Nie zachodziłaby wtedy konieczność — czytamy w *Times* — podporządkowania (w Sowietach) dobrobytu ludności potrzebom przemysłu wojennego. Nie byłoby też konieczności układania planów pięcioletnich w katogoriach samo wystarczalności. Po raz pierwszy mogliby Rosjanie poczuć się swobodnie i skoncentrować się na produkcji tych dóbr, które mogą produkować najkorzystniej, oraz wymieniać sporą część tych produktów za najlepsze inne wyprodukowane w innych krajach".

Widzimy więc, że poważne środowisko brytyjskie liczy się z latami długiego i pomyślnego pokoju po tej wojnie i że publikując swoje nadzieje stara się jak gdyby zasugerować to swoje przekonanie innym. Nie można nic zarzucić takiej rozumnej dążności. Artykuł o współpracy ekonomicznej i handlu Wielkiej Brytanii z Rosją nie znajdzie krytyków u sąsiadów Rosji, którzy również pragną długich lat twórczego i pracowitego pokoju, pozbawionego wszelkich możliwości zaburzeń, niepotrzebnych nikomu ze Zjednoczonych Narodów w tej części Europy. Artykuł taki jest bez porównania bardziej rozsądny i wzbudzający zaufanie, niż artykuł *Times* zamieszczony na tym samym miejscu przed paru miesiącami, w którym tłumaczono, iż po wojnie należy nie tylko utrzymać na kontynencie europejskim koncentrację przemysłu dokonaną *par force* przez Niemcy w czasie wojny, ale korzystać nadal z doświadczenia obecnych niemieckich fachowców stojących na czele tej koncentracji. Artykuł ówczesny przeszedł wtedy pozornie tylko bez echa w opinii uciśnionych przez Niemcy Europejczyków, gdyż *de facto* wzbudził wiele niepokoju.

Artykuł o handlu z Sowietami nie wzbudzi takiego niepokoju sam przez się. Trzeba jednak pamiętać, że nim taka era pokoju zapanuje w Europie, muszą być rozwiane wszelkie wątpliwości co do zamiarów rosyjskich: traktaty muszą być szanowane i wzajemne zaufanie przywrócone.

STAN SPRAWY POLSKIEJ

Stan sprawy polskiej zależny jest przede wszystkim od wojny z Niemcami i pod tym względem sytuacja jest zupełnie jasna. Zwycięstwo Niemiec jest naszą klęską. Ale też na tym problem się nie kończy, bo w świetle znanych roszczeń sowieckich klęska Niemiec nie jest jeszcze naszym zwycięstwem. Klęska Niemiec jest dla nas konieczna, ale niewystarczająca. Potrzebne jest także uregulowanie naszych stosunków z Rosją, przy czym pamiętać należy, że Polska nie wysuwa żadnych roszczeń w stosunku do posiadłości sowieckich, natomiast Rosja sowiecka wysuwa roszczenia wobec ziem polskich.

Wobec Niemiec więc prowadzimy jedną tylko politykę: politykę wojny. Ta polityka nie może być zmieniona i nie wymaga zmian. Jaka jednak jest nasza polityka wobec roszczeń i działań sowieckich? Czy pod tym względem polityka polska nie wymaga żadnych zmian, czy też wymaga i jakich?

Naszą politykę wojenną wobec Niemiec prowadzimy razem z głównymi naszymi Sprzymierzeńcami: mocarstwami anglosaskimi. Tu mamy pełne ich poparcie. Dlaczego nie mamy odpowiedniego poparcia w naszych sprawach sowieckich?

Stan nieutrzymywania stosunków dyplomatycznych polsko-sowieckich na skutek zerwania ich przez Rosję przedłuża się i doprowadza do sytuacji paradoksalnej. Rząd sowiecki propaguje i popiera w swoim kraju grupkę polskich prosowieckich quislingów, a w Polsce organizację komunistyczną występującą pod nazwą "*Polska Partia Robotnicza*". (Nazwę tę wybrano zapewne dlatego, żeby w okresie współpracy sowiecko-niemieckiej nie obarczać się nazwą alarmującą społeczeństwo polskie samym już brzmieniem, przypominającym komunizm i Komintern. Teraz jednak z okazji rozwiązania Kominternu wyszło na jaw, z oficjalnych źródeł sowieckich, że ta t.zw. *Polska Partia Robotnicza* podlegała Kominternowi). W Moskwie odbyto przez paru dniami zjazd grupki quislingów — z których może zresztą niejeden uległ presji psycho-fizycznej — zaszczycony przez premiera Stalina listem, w którym znowu była mowa o Polsce "silnej i niepodległej". Nie wchodząc w całość koncepcji rosyjskiej wobec Polski stwierdzić należy, że przymiotnik "*silna*" używany konsekwentnie przez Stalina w miejsce przymiotnika "*wielka*" używanego przez innych cudzoziemskich mężów stanu, zaczyna zupełnie ściśle odpowiadać treściowo programowi zaboru połowy Polski.

Równocześnie sytuacja ludności polskiej w Sowietach nie doznała polepszenia ani na jotę, co może równać się dalszej mniej lub więcej powolnej jej fizycznej zagładzie. Musi posiadać swoją wymowę fakt, że ani Stany Zjednoczone ani Wielka Brytania nie podjęły się reprezentacji naszych interesów w Związku Sowieckim, i że zadania tego podjęła się odległa przede wszystkim komunikacyjnie Australia.

Stan nieutrzymywania stosunków dyplomatycznych między Rosją a Rządem polskim nie jest stanem normalnym pokoju, ani stanem wojny *sensu strictissimo*. Czym jednak jest? Rosja prowadzi wojnę z Niemcami i to nie ulega wątpliwości; jak jednak nazwać jej roszczenia oraz akcję propagandową, polityczną i dyplomatyczną przeciw prawom Polski? Trzeba sobie zdać sprawę z tego, co to jest i zastanowić się nad krokami zaradczymi. Niezałatwienie tej sprawy może pociągnąć za sobą niesłychane konsekwencje. Rosja zachowuje sobie wolną rękę wobec Polski, Rosja proklamuje publicznie, jak tej wolnej ręki użyć zamierza, inne zaś mocarstwa koalicji antyniemieckiej zachowują milczenie, które jedynie dla pociechy można nazwać dyplomatycznym. Oto jest wynik polityki i dyplomacji rządu generała Sikorskiego.

Co więcej, postawa sowiecka zaczyna wywierać wpływ na polskie sprawy wewnętrzne. Na hasło z Moskwy rekonstrukcji rządu polskiego w kierunku powolnym żądaniom sowieckim, z niewyrobionych politycznie środowisk polskich wychodzi nie tylko *słuszna* odpowiedź, że rząd polski nie może być formowany w związku z życzeniami zagranicznymi, ale też *niesłuszny* wniosek, że właśnie dlatego nie należy zmieniać lub ulepszać obecnego rządu, bo zagranica domaga się zmiany! W ten sposób polityka sowiecka zaczyna wywierać wpływ od strony negatywnej na sprawy wewnętrzne polskie i nie mogąc doprowadzić do pogorszenia polityki polskiej, stara się niedopuścić do jej ulepszenia.

Nie trzeba mieć pretensji do przyjaciół naszych z mocarstw demokratycznych dopóki nie usuniemy polskich braków i błędów. Nie ulega kwestii, że np. polityka brytyjska, która by chciała widzieć możliwie długi okres pokoju w Europie całej i również w Europie środkowo-wschodniej, z radością zobaczyłaby, że narody tej strefy mają kierownictwa dorosłe do oczekujących je zadań. Nie ulega kwestii, że politycy zachodni szczerze chcieliby wyjść z dylematu wiekowego już: Niemcy czy Rosja w Europie środkowo-wschodniej? Czy politycy ci znajdują jednak odpowiednich partnerów w kierownikach politycznych i reprezentantach tej części Europy? Czy odpowiedni ośrodek brytyjski przeanalizowa wszy dokładnie personaż oficjalny np. polski — co w tym wypadku ma zresztą znaczenie kluczowe — zostanie zbudowany jego poziomem, horyzontami politycznymi, wytrawnością i głębokością sądów? Każde kto zna osoby, które mamy na myśli, niech sobie odpowie sam na to pytanie. Nie, Europa środkowo-wschodnia nie ma w tej wojnie ani Dmowskiego, ani Masaryka, ani Pasicza, ani Venizelosa.

Braki te można by powetować, gdyby zamiast wybitnych osób instytucje funkcjonowały rzetelnie i bez gierek. Wtedy na pewno wyłoniłyby się talenty. Tak jednak jak jest dzisiaj, czas upływa, obecna zaś ekipa oficjalna polska nie daje najmniejszej gwarancji, że potrafi nawet nie błyszczeć zaletami, ale choćby tylko zatrzymać serię błędów wynikającą organicznie z jej świata pojęć i metod.

DYPLOMATYCZNY ZWIĄZEK SPOŁECZNY

Przed paru dniami ukazała się w druku maleńka książeczka, która przypomina wielką sprawę. Tą sprawą jest obrona integralności granic Rzeczypospolitej od strony wschodniej, tak zagrożonych od wewnątrz naszej Koalicji. Chodzi o Lwów i Wilno. Książeczka nazywa się w "*W 600-lecie powrotu Grodów Czerwieńskich do Polski*" i zawiera opis i przebieg pamiętnego zebrania społecznego w Londynie w dniu 14 marca 1943. Przebieg t.zn. oprócz *Słowa wstępnego* wszystkie przemówienia wygłoszone na uroczystości, od kazania J.E. ks. Biskupa Radońskiego w Kościele zaczynając. Wszystkie te przemówienia mają trwałą wartośc dla problemu politycznego, referat zaś p. Józefa Rudnickiego ma też dużą wartość naukowo-historyczną dla wszystkich głębiej interesujących się Lwowem. Książeczka dużo nie kosztuje, przedstawia się graficznie nieprzeciętnie — tak, że cieszyć się będzie zapewne dużym powodzeniem. Dla każdego Polaka z Ziem Wschodnich (współdział Wilnian w tej imprezie był bardzo duży i istotny) książeczka przedstawia też swoiste *pretium afectionis*.

Sprawa rozpowszechnienia książeczki jest tym bardziej istotna, iż daje ona świadectwo, jak społeczeństwo polskie, niezależnie od wysiłków oficjalnych, usiłowało i usiłuje przyczynić się do obrony Wilna i Lwowa przed obcymi roszczeniami i zamachami. Wreszcie książeczka propaguje krótką wzmianką FUNDUSZ ZIEM WSCHODNICH, który jest konieczny, jeżeli cegiełka społeczeństwa polskiego poza Krajem ma być dołożona do budowy naszej przyszłości na tych ziemiach.

Akcję tę prowadzą, odrębnie na razie, dwa regionalne Związki polskie w W. Brytanii: Związek Ziem Północno-Wschodnich oraz Związek Ziem Południowo-Wschodnich, czyli — w uproszczeniu — związki wileński i lwowski. Piewszy jest już całkowicie zorganizowany, drugi ciągle jeszcze znajduje się w stadium organizacji. Sprawie tej poświęcimy tu jeszcze parę słów.

Wiadomo powszechnie, że związki społeczne polskie w W. Brytanii nie ogarniałyby całości tutejszej Polonii, gdyby nie obejmowały osób pełniących służbę w Polskich Siłach Zbrojnych. Godzi się to całkowicie z dyscypliną wojskową, gdyż programy związków nie obejmują spraw polityki bieżącej, a same związki umożliwiają wymianą poglądów współpracę Polakom różnych przekonań politycznych. Z drugiej zaś strony istnienie związków łączy obywateli w siłach zbrojnych z rodakami w cywilu i dostarcza zarówno jednym i drugim w tych ciężkich warunkach wojennych zdrowej treści społecznej, tym bardziej zwłaszcza wojskowym potrzebnej, iż z konieczności inne ich uprawnienia natury społecznej są zawieszone.

Wszystkie też związki społeczne uzyskały zgodę czynników właściwych na należenie do nich osób wojskowych i współpracę ich w ramach, na jakie zezwalają regulaminy i warunki służby. Tylko Związek regionalny lwowski takiego pozwolenia dotąd nie uzyskał. Nie znaczy to, że mu takiego zezwolenia odmówiono, nie. Miałoby to swoistą wymowę polityczną, a nawet dyplomatyczną. Biurokracja nasza czasu wojny nie chce się aż tak kompromitować. Biurokracja ma swoje własne sposoby. Ma telefony, odroczenia, konsultacje, opinie i inne tym podobne sposobiki.

Tymczasem jednak czas upływa i nie można *nie dopuścić* społeczeństwa emigracyjnego do spełnienia jego obowiązku. Tylko Związek regionalny lwowski nie uzyskał dotąd zezwolenia właściwych czynników na należenie doń wojskowych! Tylko Związek lwowski! Zobaczymy, jak długo jeszcze to zwlekanie w tak poważnej sprawie potrwa.

MARYNARZE I LOTNICY

"*Myśl Polska*" zamieściła w ostatnim Nrze wrażenia jednego z oficerów Marynarki Wojennej R.P. — p. Czesława J. Bartosika — ze słynnego już dzisiaj konwoju transportów Sprzymierzonych do Murmańska, w którym

tak zaszczytny udział brał nasz *O. R. P. Garland*. Głosy nadchodzące do Redakcji świadczą, że szkic p. Bartosika był czymś więcej, niż zwykłym reportażem jednego z uczestników rejsu i boju. Było to jakby zarysowanie, jaka jest wymowa polityczna i międzynarodowa dla sprawy naszej Niepodległości walk staczanych przez Marynarkę Wojenną R.P. Na niedawnej konferencji prasowej, poświęconej sprawom Marynarki Wojennej w Ministerstwie Obrony Narodowej, relacje innych "referentów" z placu a raczej z powierzchni i z głębin morskich, były równie wymowne i po epicku piękne, co relacja o "*Garlandzie*".

Może będziemy tu najbliżsi prawdy, jeżeli krótko sformułujemy, że wyniki działań naszej Marynarki wojennej są czymś jeszcze nieskończenie większym niż męstwo dwu tysięcy sześciuset ludzi, walczących pod polską Banderą na morzach. Jakże przychylnych ekspertów morskich brytyjskich mogą zastać przy stołach konferencji pokojowej nasi politycy. Byle tylko wiedzieli, co mają z tym naszym dorobkiem marynarskim zrobić!

Nie jest też rzeczą bez znaczenia, że w wynikach indywidualnych (których suma nawet nie obejmuje jeszcze dzieła dokonywanego przez Marynarkę Wojenną R.P. jako całość) na każdego z naszych marynarzy przypada o wiele więcej prac i zasług, niż to normalnie bywa. Nasza Marynarka Wojenna liczy tylko 9% składu personalnego. Marynarek Sojuszniczych europejskich współpracujących z *Royal Navy*, oficerowie zaś jej dzierżą 45% wszystkich sojuszniczych, a przez Brytyjczyków nadanych, *Distinguished Service Orders*, 23% *Distinguished Service Crosses*, a podoficerowie i marynarze 27% wszystkich sojusznikom danych dotąd *Distinguished Service Medals*. Trzeba życzyć wszystkim innym sojusznikom podobnego uznania ze strony świetnej Marynarki Królewskiej Brytyjskiej, ale też można się cieszyć szczerze naszymi własnymi sukcesami.

•

Piszący te słowa nie mógł niestety wziąć udziału w innej konferencji prasowej w Ministerstwie Obrony Narodowej, poświęconej naszemu Lotnictwu. Rezerwując więc sobie prawo zwrócenia uwagi czytelników na znaczenie szersze, a nie tylko ściśle militarne, naszych ofiar i zwycięstw lotniczych, stwierdźmy tu tylko, że i Lotnictwo, podobnie jak Marynarka Wojenna, przekracza swoimi czynami bardzo rozlegle swoje stany liczbowe i swoje rozmiary organizacyjne. Lotnicy nasi wciąż udowadniają, że naród polski może się podjąć wielkich zadań w przyszłym porządku świata, do którego należy dążyć.

I dlatego tym bardziej smutne jest, że czujemy się tu zmuszeni zwrócić uwagę na pewne rysy w tym wielkim dziele twórczości polskiej, które — jeżeli w czas nie zostaną usunięte, wyrządzą sprawie polskiej ogromną szkodę.

Bardzo szerokie już koła polskie w Wielkiej Brytanii niepokoją się m.i. sprawą przesunięcia — wraz z wszystkimi konsekwencjami tego — w stan nieczynny czterech lotników bojowych, z których najstarszy stopniem ma Virtuti Militari, 4 Krzyże Walecznych i brytyjski D.F.C., dwaj następni — każdy Virtuti Militari i po 4 Krzyże Walecznych i najmłodszy 3 Krzyże Walecznych. Przesunięcie w stan nieczynny oznacza zwolnienie ich organizacyjne z R.A.F. ne podstawie żądania czynników polskich, zesłanie na "wyspę odosobnienia", zmniejszenie poborów i zamknięcie możności dalszego postępu na szczytnych szlakach służby lotników. Nie podejmujemy się tu rozważać całości sprawy, która otoczona jest dziś ciężką atmosferą. Jest jednak rzeczą powszechnie wiadomą, że stawiane im zarzuty mogą znaleźć w regulaminach tylko techniczne uzasadnienie, tło zaś całej sprawy jest tego rodzaju, iż zaangażowane tu zostały najbardziej podstawowe zasady, którym służy Polskie Lotnictwo. Nie byłoby dobrze, gdyby pozwolono tu na obczyźnie na rozwijanie się i pogłębienie konfliktów zasadniczych. Poczucie odpowiedzialności nie może być dla nikogo pustym dźwiękiem. W sprawę powinny wglądnąć czynniki najwyższe i poskromić niewczesne zamiary niektórych elementów, które zbyt zapędziwszy się — nie umieją się cofnąć i chcą uporem pokrywać własne błędy.

CZESI I KOPERNIK

W poprzednim N-rze "*Myśli Polskiej*" zwrócono uwagę na zamieszczenie w londyńskim "*Czechosłowaku*" artykułu (Dr. J. Olsinki) o Mikołaju Koperniku bez najmniejszej wzmianki, że był to uczony polski. Lojalnie więc notujemy też, iż w następnym N-rze "*Czechosłowaka*", który zresztą ukazał się również przed pojawieniem się naszej tamtej notatki, zamieszczony był dłuższy artykuł o Koperniku w formie recenzji książki wydanej niedawno w Londynie po angielsku pióra wybitnego polskiego humanisty ze Lwowa dr. Józefa Rudnickiego. Artykuł ten w "*Czechosłowaku*", ozdobiony podobizną przechowywanego w Pradze rękopisu Kopernika, szczegółowo traktował o osobowości wielkiego astronoma, a więc zaznaczył też jego narodowość polską i przywiązanie do ojczyzny.

PROF. STROŃSKI I KOPERNIK

Przy tej sposobności zaznaczmy tu, że wątpliwości wyrażone przed paru tygodniami w *The Times* co do narodowości Kopernika nie zostały rozwiane w owym piśmie listem prof. Strońskiego, cytującym świadectwo niemieckie, iż jeszcze do końca conajmniej XVIII wieku Niemcy uważali Kopernika za Polaka. Ukazał się w *The Times* inny list, podający, iż jeszcze wcześniejsze świadectwo niemieckie uważa Kopernika za "Prusaka". Szkoda, że prof. Stroński nie prowadził dalej tej polemiki, zamiast jąć się na starość pracy do której nie ma żadnych kwalifikacyj. Prasa donosi, że prof. Stroński nie przyjął po swojej dymisji ani żadnego stanowiska rządowego, ani nawet należnej mu z prawa emerytury, a za to zangażował się do jednej z brytyjskich fabryk lotniczych i wykonuje w niej zapewne takie prace, do których może być użyty. Bardziej to przekorne posunięcie, niż rozsądne, bardziej kawaleryjskie, niż polityczne. Ktoby się spodziewał po prof. Strońskim?

Bo naprzykład niepodobna, żeby prof. Stroński nie wiedział, że tak wybitny Niemiec, jak filozof Nietzsche (nie odbieramy go Niemcom, bo choć sam stwierdzał swoje polskie pochodzenie, nie należy do nas; decyduje tu nie wyłącznie pochodzenie, ale i przebieg życia) z lubością stwierdzał, że Kopernik był Polakiem, bo tylko członek narodu, który wydał instytucję "*liberum veto*" mógł naprzekór całemu światu podjąć tezę, że to ziemia kręci się dookoła słońca a nie słońce dookoła ziemi. Nie chodzi w tej chwili o ironiczne argumenty, ale o świadectwo Niemca z XIX w. Piszący te słowa nie miał czasu na napisanie odpowiedniego listu, bo redaguje "*Myśl Polską*", urzędnicy Ministerstwa Informacji mają za sobą więcej studiów nad Spinozą, niż Nitzschem, prof. Stroński zaś wyrabia aparaty lotnicze, zamiast pochodzić trochę do biblioteki *British Museum* i odświeżyć głowę po atmosferze umysłowej polskich kół rządowych.

SZLAKIEM KADRÓWKI
gen. Sikorskiego

Grupka b. członów Stronnictwa Narodowego, która weszła do rządu gen. Sikorskiego— by udawać tam przedstawicieli kierunku narodowego — wszystko odrzuciła z zasad polityki narodowej i jednego tylko się trzymała — przynajmniej do dni ostatnich. Nie zawarli ci panowie z gen. Sikorskim żadnego układu, nie zawarowali sobie obiektywnych gwarancyj żadnego określonego kierunku polityki, zdali się całkowicie na łaskę pańską. Nie rozumieli, że walka Obozu Narodowego przed wojną z reżimem pomajowym polegała m.i. na zwalczaniu rządów personalnych zamiast rządów w imię określonego programu politycznego.

Jedno tylko im zostało z dawnych lat: jakieś cienie wspomnień walki z sanacją. To jedno im Sikorski obiecywał, to jedno im gwarantował. I to wystarczało.

Tak byli pewni tej "linii" politycznej gen. Sikorskiego, że specjalnie skrytykowali obecność kilku narodowców na londyńskiej akademii ku czci Marszałka Piłsudzkiego w dniu 19 marca 1943. Narodowcy ci poszli na akademię, chcąc zapewne przez to zaznaczyć, że kiedy zbiera się grupa Polaków pod hasłem służby Polsce, można zamanifestować, że się ich uczucia polityczne szanuje, choćby to były uczucia czci i przywiązania do historycznej już dziś tylko postaci naszego przeciwnika. "*Biuletyn Narodowy*" wydawany, przez grupkę składającą się z 2 ministrów, jednego profesora — prezesa Banku Polskiego i 5 członów Rady Narodowej, specjalnie zaatakował i samą skademię i obecność na niej kilku osób ze Stronnictwa Narodowego.

Tymczasem w parę dni później doniósł oficjalny *Dziennik Polski* z Bagdadu, że generał Sikorski chcąc sobie zjednać innego generała odezwał się do niego na przyjęciu w kasynie:

"Generale, z prawdziwym żołnierzem, jakim Pan jest, ja zawsze dojdę do porozumienia.

"*Aby dać wyraz temu stanowisku, niech orkiestra zagra Pierszą Brygadę*"

I orkiestra, naturalnie, zagrała.

Co teraz?

Czy Pan Prezes Banku poda się do dymisji?

Czy też może idąc wiernie w ślady pańskie wraz z pp. Seydą, Komarnickim i Celichowskim ruszy w te pędy 6 sierpnia "szlakiem kadrówki"?

A mówiliśmy staruszkowi, żeby nie wierzył zapewnieniom Sikorskiego o "walce z sanacją"!

NA MARGINESIE

ODDZIAŁ - FOLWARK I ODDZIAŁ - FABRYKA

JESTEŚMY w wojnie. To nie jest niestety truizm. Niestety — ponieważ znaczna część Polaków "in this country" *nie może tego pojąć do tej pory. Wojna nowoczesna jest tak wielkim przewrotem, że wszelkie rozumowania na temat przyszłości czy nawet teraźniejszości polskiej (polskiej, to znaczy w* 99 *procentach krajowej) w oparciu o dane przedwojenne jest zupełnym anachronizmem. Wielkie przemiany zachodzą przecież nietylko w tamtych* 99 *procentach rzeczywistości, ale i w tym półtora* pro-mille, *do którego się zaliczamy. Nierzeczywistość atmosfery londyńskiej jest przecież tak potworna, że nie tylko nie liczą się tam naprawdę z rzeczywistością owych* 99 *procent, ale nawet z rzeczywistością jednego pro-mille przebywającego na tych wyspach — ograniczają się zaś do tego ćwierć pro-mille, które albo przebywa albo bywa w* "Town". *A tymczasem ciekawe przemiany zachodzą wśród drobnej "masy" polskiej w Albionie, wśród tych, którzy w oczekiwaniu na Powrót, nie mogą liczyć na Posadę.*

Zajmijmy się jednym małym ale ukazującym duże perspektywy wycinkiem przemian społecznych. Są to przemiany w wojsku. A ponieważ jesteśmy w wojnie (powtarzam jeszcze raz), więc obserwacja takich przemian jest najbardziej na czasie, jest najbardziej realna.

•

Przed czterema bez mała laty spotkały się dwie ożywione doskonałym duchem bojowym armie na lądzie europejskim. Jedna została pokonana w ciągu paru tygodni. A jednak była to armia świetna. Pewien pisarz wojskowy francuski stwierdził: "Polska miała doskonałą armię, ale doskonałą w znaczeniu r. 1914". *W tym powiedzeniu tkwi istota rzeczy: spotkały się dwie armie nie-współczesne. Gdybym miał tu na myśli tylko sprawy zaopatrzenia w sprzęt nowoczesny oraz wyszkolenia, napisałbym banał i to banał nie całkiem ścisły. Chodzi mi o co innego, o coś większego i istotniejszego, o anachronizm nie techniczny, ale psychiczny, nie strategiczny ale socjalny.*

Pod względem psychiczno-socjalnym armia Marszałka Rydza jako masa była tym samym, co armia Marszałka Poniatowskiego. Odpowiadała mniej-więcej armii Wilhelma Pierwszego z r. 1870, *i Mikołaja Ostatniego z r.* 1914. *Była anachronizmem wobec armii Hitlera a nawet wobec tego, czym już wówczas rozporządzał Stalin.*

Nie, nie idzie o sprzęt i taktykę, a raczej o tyle tylko o nie, o ile są wynikiem głębszego układu.

"Od pieśni przejdźmy do prostej powieści".

Jak wyglądał przeciętny oddział polski anno Domini 1939? *Powiedzmy pododdział, czyli grupa ludzi zdanych na siebie bezpośrednio w obliczu śmierci, zwycięstwa i klęski. Ton temu oddziałowi nadawały dwa elementy społeczne: młodzi chłopi i inteligenci szlacheckiego pochodzenia lub wzorujący się na ludziach szlacheckiej proweniencji. Polska miała* 72 *procent ludności wiejskiej, a w wojsku conajmniej trzy czwarte; robotniczej* 10 *procent. Te dziesięć procent, często świeżego (w drugim pokoleniu) pochodzenia wiejskiego, nie zmieniały zasadniczo układu.*

Człowiek buduje sobie rzeczywistość na podstawie wyobrażeń znanych i przyzwyczajeń nabytych, na podstawie swoich doświadczeń życia społecznego. Niedawno słyszałem następujące słowa z ust pewnego starego, zresztą bardzo dobrego, podoficera zawodowego, skierowane do żołnierzy przybyłych z Rosji! "W każdej organizacji musi być porządek pracy i posłuch. Tak jakeście w pracy na folwarku słuchali zarządzeń, tak tu musicie słuchać moich poleceń".

Oto jest klucz. Jedyną zasadniczą formą pracy zbiorowej,znaną przygniatającej większości żołnierzy (mam tu na myśli oczywiście nietylko szeregowców, ale i podoficerów, a nawet sporą część oficerów) z ich życia cywilnego, był folwark. Szwadron z r. 1939 *był psychicznie, socjalnie i organizacyjnie folwarkiem, tak samo jak w czasach napoleońskich. (Dałoby się może powiedzieć o tym wiele w jeszcze szerszym wymiarze, o pojęciu państwa jako folwarku, które odzywało się tu i ówdzie, czasem całkiem mocno, w Polsce międzywojennej, ale to już zupełnie inny temat). Analogia jest całkiem ścisła i bezpośrednia.*

Karność wojskowa nie była dyscypliną pracy zróżnicowanej, kwalifikowanej, lecz dyscypliną pracy folwarcznej. Przypominam sobie, że gdy na pewnym zjeździe dyskutowano sprawę stosunków pracy w rolnictwie, inteligentny i radykalnych skądinąd poglądów ziemianin mówił: "Bójcie się Boga,panowie, wy tak dyskutujecie o ustalaniu warunków pracy, jakby folwark był fabryką. Tu niema żadnych sprawdzianów wydajności ani stałego podziału pracy. Określenie objektywne, czy ten chłopak dobrze kraje buraki czy źle, nie istnieje. Możemy tylko zaglądać przez ramię i w razie czego poganiać".

W przeciętnym oddziale modelu przedwojennego polskiego, jak na folwarku istniała bardzo mała ilość prostych narzędzi. Każdy żołnierz powinien był umieć każdym z nich posłużyć się w miarę potrzeby. Karabin jak cep, szabla lub bagnet jak kosa, a conajwyżej CKM jak pług. Żołnierz był żołnierzem, jak fornal był fornalem, a nie był specjalistą jak fryzjer, tokarz, giser czy maszynista. Powyżej niego szedł też nie żaden specjalista, ale wysłużony żołnierz czyli podoficer młodszy i starszy, jak na folwarku karbowy i włodarz. Oficer nie wychodził z szeregów, jak rządca czy administrator nie wychodzi z fornali, ale i on nie był specjalistą, lecz inteligentem, w kawalerji przeważnie ziemianinem. Uczył się praktyki wojskowej jako podchorąży, a podchorąży miał w oddziale ściśle takie stanowisko, jak na folwarku praktykant. Praktykantem orze się jak parobkiem, szuka się jak się do niego przyczepić, ale do stołu siada on z państwem (kasyno).

Pułk był jakby kluczem folwarków, dowódca szwadronu administratorem, porucznicy rządcami, szef włodarzem, kaprale karbowymi, frajtrzy fornalami, a rekruci posyłką. Oficer mówił "ty" *nietylko do szeregowców, ale i do tych podoficerów, których znał jako rekrutów, to samo starsi podoficerowie do młodszych, tak jak mówi się do parobków, a nawet karbowych, których się znało od posyłki.*

Kontrola była jak ją opisywał ów ziemianin na zjeździe. Nie kontrola wyniku i techniki, ale ustawiczne poganianie w tonie patrymonialnym, to znaczy ordynarnym ale ojcowskim. W fabryce mówi się "Panie! Józwa, jeżeli pan tego nie dokończy na jutro, potrącę przy wypłacie", *na folwarku!* "Józek cholero, a róbże to prędzej gamoniu jeden, bo gnaty poprzetrącam".

Te zbrojne folwarki, to były dobrze prowadzone folwarki, ale zderzyły się z fabrykami. Jednostka armii nowoczesnej, jaką rozporządzały Niemcy już od czasów von Seeckta, ma psychikę zupełnie inną. Czy to będzie zespół lotniczy, czy marynarki, czy zmotoryzowanych wojsk lądowych, to zawsze jest Zakład. *W sercu jednostki znajduje się warsztat REP., na tyłach cały kompleks przemysłowy. Każdy żołnierz jest robotnikiem przy swojej maszynie. Nie jest już punktem przecięcia rzędu z szeregiem, nie jest* "ty tam trzeci w piątej czwórce," *jest* "Pepanc do mnie!" *Walek dziś pójdzie kosić, a Franek pojedzie z końmi, ale Walczak zawsze będzie przy obrabiarce. Radio nie pójdzie na miejsce kierowcy, a kierowca do moździerza. Oddział nowoczesny jest oparty na współdziałaniu zróżnicowanych narzędzi walki, na współpracy różnych specjalistów, z których jeden drugiego nie zastąpi, a wszyscy są sobie potrzebni. Podoficer nie jest karbowym, jest majstrem. Żeby się trzymać ciągle najprostszych przykładów, jeden kapral jest od gazów, drugi od moździerzy, trzeci od radia, czwarty od silników, a cóż dopiero tam, gdzie wchodzi warsztatowa część oddziału w grę. I karność staje się zupełnie inna. W gruncie rzeczy surowsza i trudniejsza. Odpowiedzialność żołnierza w kombinezonie jest o wiele większa, niż w butach z cholewami. Tego ostatniego się* "ruga" *dziesięć razy dziennie, ale ten pierwszy najmniejszą niedbałość przypłacić może uszkodzeniem ciała.*

Jest rzeczą niezmiernie interesującą obserwować,jak zmienia się psychika młodego chłopa — przybyłego z Rosji, gdzie wyrębywał tajgę— pod wpływem pobytu w nowoczesnej armii. W okresie rekruckim, gdy jeszcze wyszkolenie techniczne nie wchodzi w szerszym zakresie w grę, wszystko jest po staroświecku. Przybyły również ze wschodu podoficer utrzymuje do spółki z rekrutem styl folwarczny wyżej opisany. Ale oto żołnierz kończy kurs kierowców, łącznościowców czy celowniczych, dostaje na własną odpowiedzialność sprzęt dość skomplikowany, zaczyna dbać o niego jak w domu dbał o konia. W dodatku żyje w kraju o niebywałym jak na jego doświadczenie "standard of life", *gdzie chłop orze traktorem a potem jedzie autobusem do kina. Dyscyplina folwarczna rozprzęga się.* "To wojsko się demoralizuje" — *mówią starzy dowódcy. Równocześnie przecież rodzi się nowa dyscyplina. Rodzi się w bólu połamanych na motorze nóg i urwanych przez źle założony pocisk palców. Podoficer karbowy jest traktowany z politowaniem, natomiast wyrasta na boga podoficer-specjalista, który poratuje w potrzebie.*

A wyżej?

W latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zbiegł się w Polsce kryzys ziemiaństwa z rozwojem przemysłu. Wielu wysadzonych z siodła właścicieli folwarków próbowało szczęścia w zakładaniu fabryk. Niektórzy dali sobie radę i stali się założycielami bardzo poważnych placówek przemysłowych, większość musiała zrezygnować, przejść do rzędu ofiar przeobrażeń form życia. Natomiast młodsze pokolenie byłych ziemian zapełniło politechniki,

(*dokończenie na str.* 707)

JERZY PIETRKIEWICZ

STANISŁAW PIASECKI

Rozdział z dziejów literatury polskiej

SZKIC niniejszy, poświęcony osobie i pracy ś.p. Stanisława Piaseckiego, redaktora tygodnika literackiego "Prosto z mostu", nie będzie żałobnym tylko wspomnieniem, wieńcem rzuconym na grób. Fakt śmierci pozwala wyznaczyć człowiekowi literatury właściwe miejsce w jej dziejach; czyny przez niego dokonane objektywizują się, nabierają znaczenia historycznego, pojedyńcze zjawiska zrastają się w problemy; można więc zacząć generalizować.

Po drugie: my, ludzie wychowani w szkole "*Prosto z mostu*" nie lubiliśmy wspominać, jeśli przez wspomnienie rozumie się chwilową rezygnację z aktualnej rzeczywistości na rzecz przeszłości. "*Prosto z mostu*" było młode właśnie tą ciągłą aktualizacją przeszłości, negacją muzealnych rocznic; "*Prosto z mostu*", wspominając tradycję, przeczuwało przyszłość, choć jednocześnie broniło się przed mechanicznym tylko notowaniem faktów współczesnych. Byliśmy poszukiwaczami idej powszechnych w zjawiskach powszednich, byliśmy fanatycznymi wyznawcami prawdy, że żyjemy na progu nowej epoki; co więcej, chcieliśmy przestąpić ten próg bez trwogi, świadomie.

Pisać o Piaseckim jako o człowieku, który umierając zabrał z sobą dzień wczorajszy, byłoby niezrozumieniem nietylko jego osobowości, ale i spraw o które walczył, szerszych niż jego życie, rozleglejszych nawet od życia jednego kraju.

SZKOŁY LITERACKIE

Szkoły literackie chodzą zwykle parami. Jedna przeciwstawia się drugiej. Stąd ciągłe powtarzanie się tych samych motywów w dziejach sztuki, z których dwa są tak oczywiste, że trącą już banałem: klasyczność i romantyczność. Nie są one ograniczone w czasie. Występują zarówno w świecie antycznym, jak w Średniowieczu, w Baroku jak i rewolucyjnym początku XX wieku. Jedna szkoła dąży do stabilizacji zastanych prądów epoki, próbuje porządkować pozornie chaotyczną rzeczywistość; druga wierzy, że porządek jest wszędzie "*sam przez się*", że stawanie się jest doskonalsze od skostnienia, że charakter człowieka lub dzieła nie może być wyznaczany drogą eliminacji drugorzędnych cech, przeciwnie "romantyk" (oczywiście w znaczeniu szerszym niż romantyzm dziewiętnastowieczny) uparcie sumuje, dodaje szczegóły do szczegółów, kocha się w przypiskach i marginesach, nie rozdziela rzeczy na klasy i pod-klasy, ale miesza, rozszczepia; rzeczywistość jego dzieła jest w takim samym stopniu przepełniona soczystym naturalizmem, jak i uduchowioną fantazją. Te dwa prądy reprezentują odwieczne, rdzenne siły życia. Albo musimy zaufać intuicji i "*wyczuć*" przemiany, albo też poddać się prawom rozumu, fortyfikując serce, broniąc się przed pokusami imaginacji.

Każda walka szkół litreackich kończy się krótkim stosunkowo okresem równowagi. Krytycy skłonni są nazywać każdy taki okres stanem przejściowym, ponieważ znajdują w nim elementy obu zwalczających się poprzednio obozów, które utrudniają wygodne szufladkowanie, że to jest klasyczne a tamto romantyczne. Krytycy nie lubią paradoksów i dlatego wymigują się określeniem: "przejściowe".

Zaryzykowałbym twierdzenie, że te właśnie okresy przejściowe reprezentują istotne osiągnięcia sztuki. W Baroku naprzykład (termin "barok" w literaturze jest o wiele szerszy niż w architekturze) znajdujemy paradoksalne elementy Średniowiecza i wczesnego Odrodzenia pomieszane z sobą, *euphuism i marinism* ze wszystkimi ich dziwactwami obok mistycyzmu J. Böhme i Silesiusa; romans fantastyczny obok powieści obyczajowej i niezliczonych pamiętników, na których wyrosła współczesna powieść psychologiczna. Możnaby tu mnożyć przykłady z wielu literatur europejskich (szczególnie z angielskiej, włoskiej i niemieckiej).

NAZWISKA I SZKOŁY

Dlaczego rozważamy te zagadnienia formalne w związku z Piaseckim?

Żeby dać na to wyczerpującą odpowiedź, musimy sięgnąć do spraw polskich. Trzeba przyznać, że w rozpatrywaniu dziejów naszej literatury łatwiej nam posługiwać się nazwiskami, niż szkołami, że — poza walką romantyków z warszawskimi pseudoklasykami i dość specyficzną w aspekcie historycznym szkołą Przybyszewskiego — trudno byłoby nam doszukać się w naszym narodowym piśmiennictwie podobnych zjawisk cyklicznych, o których mówiliśmy poprzednio w związku z zagranicą. Skłonność do *personalnego* traktowania spraw politycznych przeniosła się u nas do literatury bardzo wcześnie (polski Renesans może służyć licznymi przykładami); stąd typowe dla naszego życia zjawisko, że w polityce jesteśmy literatami, a w literaturze politykami. Jednak pod koniec XIX wieku zaczęło się w naszym literackim kociołku trochę klarować. Razem z wystąpieniem Brzozowskiego, Artura Górskiego i Miriama zjawiają się w polskim środowisku kulturalnym problemy uniwersalne, w prawdzie inne w tonie od uniwersalizmu mickiewiczowskiego, ale — co najważniejsze — dające nam możność wyjścia na szeroki świat. Koroną tej atmosfery jest najlepsza polska książka ostatniej epoki "*Żywe kamienie*" Berenta, bodaj czy nie jedyne dzieło, które można śmiało tłumaczyć na każdy język europejski. Proces ten rozwija się pomyślnie w pierwszych dwu dekadach obecnego stulecia. Nawet w okrzyczanych "dziwactwach" futuryzmu (Młodożeniec i Tytus Czyżewski jako najlepsi przedstawiciele tego okresu) jest sporo zarodków siły i zdrowia.

Z powstaniem "*Skamandra*" i "*Wiadomości Literackich*" rozwój idej i walka idej otrzymuje nowe piętno; piętno, które w konsekwencji rujnuje koncepcję przeciwstawnych szkół literackich. Tak zwana grupa "*Wiadomości Literackich*", której znakomitym likwidatorem był Stanisław Piasecki, nie stanowiła własciwie szkoły literackiej w tym znaczeniu, o którym pisaliśmy powyżej. Była raczej spółką akcyjną, do której w pewnym okresie czasu opłacało się należeć; zrzeszeniem specjalnego typu. Mówiąc o kilkuletniej dyktaturze "skamandrytów", należy myśleć stale o "rynku literackim", o giełdzie poetyckiej, co więcej o truście dobrze zorganizowanym, w którym poza akcją wstecznika literackiego Zawodzińskiego w "*Skamandrze*" było wystarczająco dużo miejsca na fikające numery kabaretu "*Cyrulik Warszawski*" i wpływowe posady w MSZ–cie, gdzie następowały rozliczenia giełdowe z zagranicą. Jedna "branża" wspomagała drugą; wierszyk z pierwszej strony "*Wiadomości*" stawał się popisowym numerem Hanki Ordonówny w "*Cyruliku*", a potem tangiem z muzyką Petersburskiego. Tym, którzy już są zbyt młodzi, żeby pamiętać tamte czasy, polecamy dziś obserwowanie metod pracy typowego przestawiciela tej samej spółki na emigracji, p. Hemara. Jest to metoda handlowa Lewisa i Peter Robinsona: na pierwszym piętrze koszulki nocne, na drugim flagi narodowe a na parterze pomiędzy składem aptecznym i kioskiem płytami gramofonowymi dostojny księgozbiór razem z biblią i encyklopedią podręcznych cytatów. Wystarczy wejść do środka, i kupić potrzebne rzeczy pokolei. *Shopping* o tyle wygodny że nie tracisz wiele czasu. Pieniądze płyną natomiast do tej samej kasy. Za pastę do zębów i za egzemplarz biblii.

MONOPARTIA W KULTURZE

Trudno niewątpliwie nazwać grupę "*Wiadomości Literackich*" szkołą charakterów. Są to niewątpliwie zdolni i szybcy podróżnicy, koledzy lojalni wobec członków trustu, nowocześni w zastosowaniu metod handlowych jak i politycznego kamuflażu. Niestety, nie można nazwać ani p. Grycendlera–Grydzewskiego ani p. Bormana wychowawcami pokoleń, nauczycielami narodu. Niesposób nawet powiedzieć, żeby ci dwaj dyrektorzy spółki wpłynęli znacznie na kształtowanie osobowości p.p. Tuwima, Słonimskiego i Wierzyńskiego.

Tak jak w polityce Polski przedwrześniowej pewne grupy dążyły do stworzenia monopartii, tak i w koncepcji "*Wiadomości*" życie kulturalne Polski, Polski 70–ciu procent chłopów, miało zależeć w zupełności od monopartii literackiej. Mówiąc o jakiejkolwiek szkole literackiej, myśli się ojednoczesnym istnieniu szkół innych, reprezentujących inne ideje, i walczących w ich imię. Ale w wypadku "szkoły" skamandrytów nie ma mowy o takim rozróżnieniu.

Istotą trwania i prosperowania tej grupy było równoczesne nieistnienie innych grup literackich. Niszcząc resztki niezależnych środowisk kulturalnych, ludzie ci standaryzowali piśmiennictwo polskie, narzucal

---

(*dokończenie ze str.* 706)

wyszło jako pierwsza liczna kadra inżynierów i techników. Stali się dyrektorami fabryk.

Można powiedzieć ogólnie, że najlepiej aby dyrektorem fabryki był inżynier, człowiek o odpowiednim przygotowaniu technicznym i doświadczeniu. Jeśli brak inżynierów z doświadczeniem, to można zrobić kierownikiem zakładu młodego inżyniera bez doświadczenia, ale z odpowiednim techniczno-organizacyjnym nowoczesnym myśleniem. Można w jego braku zrobić dyrektorem doświadczonego majstra bez wyższego wykształcenia. Trzeba natomiast pogodzić się z myślą, że bardzo rzadko administrator folwarku, nawet dobry administrator, nadaje się psychicznie na dyrektora fabryki. Przestawienie jest zasadnicze, wymaga dużej inteligencji, więcej — mądrości.

A skutki psychiczne przejścia przez nowoczesną organizację wojskową dla części polskiego młodszego pokolenia wiejskiego, to znowu osobny temat, który zahacza o uprzemysłowienie i o przeludnienie wsi i o motoryzację. Od czołga można wrócić do traktora, ale do pary wołków trudno.

Są ciekawe zagadnienia poza Londynem, nawet z tej strony kanału.

P. JANECKI

opinię, nie dopuszczali do krytycznej wymiany poglądów; słowem tworzyli monopartię w kulturze.

W ustroju naprawdę demokratycznym istnienie podobnego dziwoląga literackiego byłoby niemożliwe.

ODNOWICIEL SZKÓŁ LITERACKICH

Wielkością pracy Stanisława Piaseckiego jest obalenie tego systemu w ciągu niespełna czterech lat. I dlatego nazywam go odnowicielem szkół literackich w Polsce. I dlatego uważam, że dzieło jego życia wypełnia osobny rozdział w dziejach literatury polskiej.

W jaki sposób osiągnął Piasecki swój cel? Szkoła literacka wychowuje. Trudno wychowywać ludzi po pięćdziesiątce. Piasecki zdecydował szybko, jeszcze na łamach dodatku literackiego "*ABC*", że nie może opierać swojej pracy na autorytetach, że ludzie starszego pokolenia, aczkolwiek bliscy mu światopoglądem, nie mogą ze swoimi nawykami i uprzedzeniami tworzyć twórczego zespołu. Trzeba zacząć od debiutantów, od zupełnie nowych, świeżych ludzi. Stąd ten upór u Piaseckiego w wiecznym poszukiwaniu "nowych talentów". Chciał mieć własnych poetów, własnych krytyków, nowelistów, powieściopisarzy. Nie zrażał się niczym. Drukował "na próbę", pomagał swoim przyszłym stałym współpracownikom w studiach, przeprowadzał skrupulatną selekcję, aż wreszcie stworzył swój pierwszy zespół, gdzie znaleźli się m. in.: Wojciech Wasiutyński, Jerzy Andrzejewski, Józef Kisielewski, Adam Doboszyński, Konstanty Dobrzyński: Konstanty Gałczyński, Karol Zbyszewski Jan Dobraczyński, Czesław Straszewicz, B. Miciński. Największą dumą mojego życia jest to, że do tego zespołu dane mi było należeć.

ANI SPÓŁKA — ANI TAJNE ZRZESZENIE

Po raz pierwszy, nie dla atrakcji i reklamy handlowej, spotkali się na łamach jednego pisma ludzie z różnych obozów politycznych: "endek" Dobrzyński obok "wiciowca" Gębali, "oenerowiec" Wasiutyński obok piłsudczyka Zagórskiego. Nie cele polityczne, ale cele kulturalne, idea wspólnej szkoły literackiej zgromadziły tych młodych pisarzy. Ponieważ "Prosto z mostu" nie było spółką handlową, której dywidendy mogłyby przynosić dochody, inne więzy — o wiele mocniejsze niż korzyści materialne — musiały łączyć współpracowników Piaseckiego, skoro przetrwali konfiskaty i ataki, próby rozbicia i szantaże. Ale jednocześnie "*Prosto z mostu*" nie było tajnym zrzeszeniem, gdzie przysięga obowiązuje aż do śmierci, Z "*Prosto z mostu*" można było było wyjść. Tak zrobił "wiciowiec" Skuza.

Pisarz musi mieć charakter, "kościec ideowy" — to była teza Piaseckiego.

Nie wystarczy mieć talent, "być na poziomie" — głosił Piasecki — pisarz nie może sprzedawać swych utworów bylegdzie, nie może uchylać się od wyrażania myśli i uczuć, nurtujących jego współczesność. Nie ma literatury ponad czasem, nie ma pisarzy ponad epokami. W Szekspirze można studiować zarówno odwieczne problemy ludzkości, jak i chwilowe przemijające prądy epoki elżbietańskiej. Uniwersalizm kultury europejskiej wyrósł na głębokim poszanowaniu kultur regionalnych. Najlepiej wyraził tę prawdę kościół katolicki, zachowując elementy regionalne zastanych kultur pogańskich. Gdyby Luter lub Kalwin nawracali Europę, a nie misjonarze Rzymu, nie pozostałoby ani śladu z dawnych cywilizacyj szczepowych. Kult Piaseckiego dla regionalizmu (poezja chłopska) przy jednoczesnym apoteozowaniu średniowieczego uniwersalizmu (liczne artykuły o tomizmie, zainicjowane na łamach "Prosto z mostu" przez O. Bocheńskiego), zaprowadził go na właściwą drogę akcji kulturalnej. Ten żarliwy nacjonalista był zaiste prawdziwym Europejczykiem.

POSTAWIĆ NA COŚ CZY WIERZYĆ?

Piasecki liczył się zawsze z możliwościa, że współpracownicy-wychowankowie mogą go opuścić. Wiedział jednak, że znajdzie nowych. Światło idej przyciągało bowiem ludzi do "*Prosto z mostu*". "*Wiadomości*" stawiały na tak zwane talenty, to znaczy na ludzi, których publiczność uważała za utalentowanych. Piasecki nie *stawiał* na nic. Piasecki wierzył, że głosząc prawdy moralne, prawdy istotne dla pojęcia kultury europejskiej, znajdzie zawsze wyznawców i twórców, że w takiej atmosferze musi powstać polski epos, nowa powieść obyczajowa, nowa liryka ludowa; że najpierw trzeba uprawić glębę, żeby wyrosło bujne zboże. Stąd jego teza: nie "wyjątkowe" jednostki, ale zdrowe społeczeństwo, w który, głęboka unia czytającego z piszącym sprawi, że literatura nie będzie ponad, poza lub pod życiem, ale w życiu samym, w jego żyznej treści.

UNIWERSALIM I REGIONALIZM

Piasecki był więc tradycjonalistą i klasykiem o tyle, o ile uniwersalny i regionalny aspekt cywilizacji europejskiej, t.zn. równowaga panująca pomiędzy tymi elementami, pokrywa się z klasyczną równowagą elemetów treściowych i formalnych. Był jednocześnie romantykiem w ciągłej pogoni za człowiekiem-twórcą, za dziełem stającym się, za ideami dojrzewającymi w grupach społecznych. Wiedział, że zimne, żelazne reguły nie wystarczą, że w dziele sztuki musi się znajdować zawsze coś, co nie jest dopowiedziane, że każdego poetę i krytyka gna tęsknota za pełnią, wieczny niedosyt moralny, że cnota i grzech to dwa bieguny, między którymi charakter się miota. Wymowny jest tytuł zbioru jego essejów: "*Prawo do twórczości*". Tak. Piasecki domagał się prawa do twórczości dla 70 procent narodu polskiego, odsuwanych dotychczas od życia artystycznego przez ludzi, broniących monopartii w kulturze. Zdumiewająca jest przewaga synów chłopskich wśród współpracowników "*Prosto z mostu*". Niektórzy zostali wydobyci przez Piaseckiego z zupełnej nędzy. Kształcił ich, zbierając fundusze, tworząc specjalne stypendia. Analizując natomiast środowisko "*Wiadomości*", znajdziemy tam przeważnie ludzi wywodzących się z burżuazji, często pochodzenia żydowskiego, oraz zubożałych i nie-zubożałych arystokratów, lub zabłąkanych w mieście donkichotów sielanki szlacheckiej. Poczytajcie sobie zbiór wspomnień, wydanych w Londynie ("*Kraj lat dziecinnych*") przez ludzi związanych z tym środowiskiem, a zrozumiecie ponurą prawdę ostatnich lat literatury polskiej. Jest to zaiste *reprezentacyjne* dzieło twórczości "skamandryckiej".

Wychowani na Heinem i poetach rosyjskich hołdowali lirycy "*Skamandra*" poezji "dnia codziennego", prymitywom treści bez żadnego jednak związku z kulturą ludową; byli za mało zaznajomieni z literaturami Zachodu (naprzykład Wells, uważany w tym kraju za dziennikarza, był ideałem literackim p. Słonimskiego), za mało poprostu związani z Europą, żeby ten brak kontaktu z prymitywem ludowym zastąpić głębokim intelektualizmem. Kopiowanie francuskich intelektualistów wydawało u nas opłakane wyniki.

WOBEC NOWYCH IDEJ FORMALNYCH

Piasecki zastał drobne grupki poetów zwanych "awangardowymi", ośmieszanych nieustannie przez czcicieli lyriki popularnej, nieczytanych przez publiczność. "*Prosto z mostu*" było pierwszym wpływowym, szeroko czytanym tygodnikiem, które uznało zdobycze formalne poezji nowoczesnej, co więcej poeci tego pisma poszerzyli i uprzystępnili zawiłe ścieżki awangardzistów.

Na początku niniejszego szkicu, pisząc o walce szkół literackich, wspomnieliśmy o istnieniu okresów przejściowych w literaturze, gdzie pozornie sprzeczne ideje poprzednio zwalczających się szkół zaczynają zrastać się z sobą, tworząc nowe całości z wczorajszych kontrastów. Epoki przejściowe ukazują w pełni właściwy "postęp" literatury. Otóż dzieło Piaseckiego posiada owe cechy syntezy, pomimo pozornych sprzeczności i paradoksów. Tu w "*Prosto z mostu*" prądy literatury polskiej XX wieku zaczęły się zlewać w jeden strumień; socjolog mógł tu dostrzec przejście od typu kultury szlacheckiej do szerszej — wiejskiej, chłopskiej.

PIEKNA ŚMIERĆ

Zagmatwani w walkach personalnych "poziomowców", zakadzeni reklamowymi chwalbami giełdy literackiej, straciliśmy zdolność historycznego oceniania zjawisk kulturalnych Śmierć Piaseckiego jest niewątpliwie zamknięciem jednego rozdziału w naszej literaturze, ale po wojnie obecnej należy oczekiwać dalszego procesu syntezy. Dlatego więc mówiąc o Piaseckim, musimy myśleć o przyszłości. Udziałowcy spółek literackich reprezentują samych siebie; z chwilą ich śmierći zespół tak pojęty przestaje istnieć. "*Prostu z mostu*" jako środowisko wychowawcze ma trwalsze podstawy istnienia. Fakt publikowania pisma nie jest dla niego wszystkim. I co najważniejsze: "*Prosto z mostu*" nie może istnieć na emigracji, odcięte od dopływu świeżych sił; może się rozwijać jedynie na ziemi własnej, w narodzie. Jego problem rozciąga się w przyszłość.

Stanisław Piasecki pozostał wierny swoim hasłom. Był surowym wychowawcą. Surowym wobec innych i wobec siebie. Zginął śmiercią heroiczną jako redaktor tajnego pisma. Mógł opuścić kraj. Nie chciał. Potem — jak opowiadają — miał otrzymać wizę włoską, ale nie skorzystał z niej.

Wciąż prorokował nadejście czasów heroicznych. Jego śmierć jest tych wróżb spełnieniem. Ludzie, którzy go atakowali, oczerniali i oskarżali, mogą teraz porównać miarę swoich czynów, tu w Londynie lub w New Yorku, z miarą jego konsekwentnych dążeń i spełnień. Natura ludzka daleka w życiu od doskonałości, narażona na liczne klęski i upadki, może jednak w godzinie śmierci doskonałość tę osiągnąć. Swą żarliwą wiarę w ideje, które głosił przez "*Prosto z mostu*", utrwalił Piasecki na zawsze bohaterskim aktem śmierci. Dlatego każdy z nas, który miał szczęście z nim razem pracować, wie dobrze, że obowiązek walki, raz nałożony, teraz tym silniej wiąże nas z sobą. Dla nas życie i śmierć redaktora "*Prosto z mostu*" nie jest wspomnieniem, lecz przypomnieniem.

Przypomnieniem, że walka trwa.

JERZY PIETRKIEWICZ.

STANISŁAW KOWALSKI

ŚMIERĆ REDAKTORA

Chciałbym opowiedzieć historię mego przyjaciela, który przez 14 miesięcy redagowal w Polsce jedno ze 140 tajnych pism polskich.

Pismo to wychodziło co kilka dni w godzinach popołudniowych. O godzinie trzeciej po południu tysiące egzemplarzy w przeciągu godziny niewidzialnymi drogami wsiąkało w życie miasta. O godzinie czwartej czytelnik miał w ręku owych malutkich, formatu normalnej książki 8 stron gazety. Wszystkie wypadki z ostatnich 24 godzin znajdowały tu odbicie w telegramach i kronice. Ponadto na pierwszych stronach zamieszczano dłuższe artykuły, które nie tylko promieniały niezachwianą wiarą, ale uczyły żyć w tych trudnych warunkach. żyć, trwać i walczyć. Cxytelnik pochłaniał szybko pismo, a po przeczytaniu wiedział, co z nim dalej począć. Wieczorem cała polska ludność miasta znała treść gazety.

Nad wydawaniem pisma pracowało kilku ludzi, a kierował tym przedsięwzięciem człowiek o wielkiej i silnej woli. Prawie nie sypiał. Nocą wyławiał wiadomości radiowe podawane przez rozgłośnie wolnej części świata.

Aby pracę przyśpieszyć, redakcję umieszczono tuż przy drukarni, w małym, jednopiętrowym budynku w przedmiejskich zaułkach. Co za drukarnia! Składająca wolno i z wielkimi trudnościami, przy zastosowaniu największych ostrożności i form maskowania.

Pismo nie mogło się spóźnić. Jego regularne przyjście do odbiorców było dla tysięcy znakiem trwałości tego w co wierzyli i znakiem tymczasowości tego, czego nienawidzili. Więc spóźnienia być nie mogło.

Pewnego dnia, w marcu zeszłego roku, o godzinie 12 w południe z górnego okna zobaczono dwuch, silnie, jak do akcji uzbrojonych policjantów niemieckich. Pukanie. Uchylono drzwi, ale zabezpieczającego łańcucha nie odjęto. Może przecież pomyłka. Może przyszli zapytać o jakiś szczegół porządkowy.

Nie! Nakaz rewizji. Tu podobno mieści się drukarnia.

Jedna krótka, ale straszliwa chwila namysłu. Zatrzaśnięto z determinacją drzwi. A przez szparę na listy poszła salwa strzałów rowolwerowych. Po tej pierwazej salwie redaktor obejrzał się po zebranych za nim. Pięciu mężczyzn, jedna kobieta. Wszyscy skinęli głową: "Tak!" Dwuch wydobyło broń, reszta wróciła do pracy.

Teraz okazało się, że jest więcej policji. Pomimo to Niemcy posłali po posiłki. I jedna i druga strona wydobyła ukrytą broń.

W czasie pierwszej godziny padały skąpe, nieregularne strzały. Niemcy wzywali do poddania, obiecując wolność i bezkarność. Z załogi redakcyjnej i drukarskiej — trzech stało w oknach z rewolwerami i krótkimi karabinkimi, reszta pracowała. Redaktor pisał ostatni artykuł wstępny. "Jutro pewnie już nie przyjdziemy do Was. . . Ale zastapią nas inni. . ." Tak się zaczynał ten artykuł.

O wpół do trzeciej numer był gotowy. Artykuł wstępny zawierał tylko pięć wierszy druku. Ochotnik znalazł się natychniast. Wyprawa ryzykowna z wielkim tobołem bibuły. Przez piwnicę i ogrody, Nakład poszedł. Czy dojdzie . . .

W 15 minut potym przyjechało na motocyklach około 20 policjantów i zbirów z SS. Ostatnie wezwanie do poddania się. A później salwy z karabinów maszynowych. Równocześnie w izbie od tyłu dał się słyszeć trzask wyłamywanych okiennic. Wówczas okazało się, że pudła drukarskie mieściły nietylko czcionki, Ze strychu od strony ogrodu poszły na oblegających ręczne granaty.

Niemcy rzucili na dach jakieś płonące pakuły. Po wilgotnym, stromym dachu stoczyły się, nie czyniąc szkody. Przy pierwszym zmierzchu oblegający poraz drugi posłali po posiłki. Potem pod osłoną ciemności starali się raz czy dwa podejść pod okna. Poszła salwa, jeden z policjantów zdaje się został ranny.

O północy okazało się, że oblegający postanowili czekać do świtu.

Około godziny ósmej rano użyli miotaczy płomieni i karabinów maszynowych . . .

Redakter zginął ostatni. Miał podobno spaloną twarz i obie ręce. Gdy go dopadli — jeszcze żył. Nie dobito go, tylko zadeptano ze wściekłości butami . . .

Wiadomość o bohaterskiej śmierci mego przyjaciela otrzymałem wraz z jednym ze starych numerów pisma, które redagował. Otwarłem te kartki i myślałem o nim. Bronił się w drukarni prawie całą dobę. A przeciaż ten człowiek nie był żadnym wyjątkiem. Był zwykłym człowiekiem o przyzwyczajeniach mieszczańskich, o pewnej miękości, która wyrabia się pod wpływem życia w wielkim mieście. Miał dwie wielkie nięchęci-nienawidził Niemców i komunizmu. Typowy mieszczanin. I ten człowiek przez czternaście miesięcy redagował tajne pismo polskie. I taką przypieczętował je śmiercią. Smiercią po której pozostały słowa: "Ale zastąpią nas inni . . ."

H. W. DZIULIKOWSKI

WĘDRÓWKA APOLONII KWIAT

(WYJĄTEK Z POWIEŚCI)

NA krańcach Milwaukee . . . domek wśród pustkowia. Bliźniacze domki w oddali. Porozrzucane i rzadkie. Zgęszczają się z odległością, by zlać ostatecznie w górę kamienia, cegieł i desek. W las kominów. W parasole kopuł i wykwity strzeliste wież. W miasto. W Milwaukee.

Skierowane na nie niewidzące spojrzenie Apolonii Kwiat. Dogasał, wiądł 102-letni kwiat. U łoża niemocą złożonej: ksiądz, córka, niemal staruszka, i reporter, Wiesław Król. Słuchali opowiadania konającej, historii powszedniej, emigranckiej, tych najpierwszych. . . .

Nędza chudego skrawka ziemi, na której plony za dużo czekało gąb. Naród rósł wedrzem rosochatym, a ziemi nie przybywało. Z garnka kipiało głodem codziennym. I prześladowaniem codziennym dudnił podkuty but niemieckiego policjanta, niemieckiego urzędnika, niemieckiego satrapy.

Szkoły wypełniał płacz bitych dzieci, za to, że chcą rozmawiać ze swoją matka-ziemią zrozumiałym dla niej językiem polskim. Odpowiadać na zapytania, pytać, gdy czego nie rozumieją. Za to, że chcą żyć naturalnie w przyjacielskiej pogwarce z kołyszącymi się w statecznych, harmonijnych ruchach poloneza plamami — jak na palecie malarza artysty — zbóż, łąk, kartoflisk. Za zapach koniczyny. Za ludzką krzywdę kąkola.

Że chcą śpiewów swojskich, wesołych, które wykołysały je na równi z żałosnym poszumem sitowia. Za echa nieskończone spracowanych oddechów roli, za uwielokrotnienie ryku bydła i końskich rżeń. Za powietrze rozedrgane trelami ptasząt. Za to, że naturę mają bujną jak łąki krzykliwie barwne i nieposkromienie kwieciste. Za serca rozdzwonione zaśniedziałym srebrem gronków owsa. . . .

Za to były, przez nasłanego *kulturtraegera*, bite, maltretowane i niewolone — orłów pisklęta — dzieci polskie!

— I ciału było źle i duszy nie wesoło . . .

Przerwała.

Musiała tchu zaczerpnąć, odpocząć, by móc na nowo podjąć nić, po której doszła tutaj:

Miły półmrokiem pokoik. Leży w szerokim łóżku, pod lekką, puchową pierzyną. Ręce — nie ręce. Kości rąk na pierzynie. Szare i przezroczyste jak na kliszy Roentgena. Wie także, że ma dwoje nóg. Wie! Muszą być, muszą — tam w nogach łożka jak zawsze były, choć ich teraz nie czuje. Odumarły! I wie, że pójdzie, pójdzie niedługo tam, dokąd odeszły jej zdrowe nogi. Pójdzie, a pod pierzyną pozostanie zimna powłoka, woskowa figura Apolonii Kwiat. . . na pamiątkę i kłopot dla córki, która będzie musiała ukryć ją na cmentarzu św. Wojciecha. Jak ojca i męża, którego 62 lata temu razem odprowadzały na miejsce wiecznego spoczynku.

Na kalwaryjski cmentarz.

— I ciału było źle i duszy niewesoło — na nowo podjęła swoją opowieść, którą raczej należałoby nazwać spowiedzią, publiczną spowiedzią, której słuchać może tak ksiądz, tajemnicy dotrzymujący, jak i dziennikarz, żądny sensacji, bowiem nie znajdzie nic, coby mogło rzucić choć cień niesławy za odchodzącą. A sensacja będzie! Sensacja — wyrzut, policzek (niema banału w zdaniu, za wierającym prawdę niezaspokojoną), policzek dla wielu możnych świata, odpowiedzialnych za jego porządek zbrodniczy.

— Byłam bardzo młoda, gdym opuszczała ojcową ziemię. Jechałam w świat na trzy chyba parafie daleki, nie na kraje rozliczne, morza, ocean i bezkres amerykańskich przestrzeni. Nie byłam świadoma wielkości ziemskiego globu.

Co za ironia! Naród Kopernika nie zdaje sobie sprawy z wymiarów świata!

Na samo wspomnienie podróży ożywiła się. W całym ciele poczuła ból owej strasznej wyprawy pod patronatem — kiedyż się od nich uwolni! — niemieckich agentów. Rzucają nią i jej tobołkiem, kolejność czynności nie odgrywa najmniejszej roli, z wozu na wóz, dziesiątki mil przemierza pieszo, omdlewa, siłą raczej woli niż ciała podejmuje dalej pielgrzymkę coraz bliższą pewności, że ją na śmierć prowadzą. Niechby już ukatrupili! O ile zabić mają, poco męczą tak długo?

Któregoś dnia znalazła się nad niezmierzenie wielką wodą. Odetchnęła! Nareszcie, nareszcie utopią. Co za radość będą mieli! Pamiętała, dolatujące znad stawku, śmiechy wsiowych chłopaków, topiących kocie szczenięta.

— Nie! Nie! — wołanie głosu godności człowieka.

— Nie utopią mnie.

Porzuciła tobołki, chustę z głowy zrzuciła i jak szalona biegła od brzegu, póki fale nie myły jej nóg. Uklękła, modląc się szczerze, serdecznie do sprawiedliwego Boga, wyrozumiałej Matki Przenajświętszej i dobrotliwego Jezusa. Wierzyła, że za Ich wstawiennictwem odjęta od niej będzie czara goryczy. W przyćmieniu umysłu nie pomyślała, że samemu od życia uciekać nie wolno. Śmiertelny grzech, o którym tyle razy kazał pleban z ambony, niedobra córo, — napróżno . . .

Jak zawsze w kościele, gdy biła się pokornie w piersi, czołem dotykała posadzki i teraz zgięła się w kornej małości.

Drugie naszło obłąkanie. Ledwo twarzą wody dotknęła, zerwała się gwałtownie i biec zaczęła z powrotem. Do ludzi! Musiała mieć przy sobie ludzi. W swoim strachu szalonym potrzebowała ludzi! Ludzi!

Wyrzucała z siebie, w niezrozumiałym dla nich języku polskim, słowa:

— To nie woda! Nie! Ha, ha — opętańczy śmiech. — Szatan kusił, chciał mnie zwabić, wyciągnął po mnie ramiona wody, bym w nie wpadła. W jego ramiona. . . szatana. Ha, ha . . . Już w nich niemal byłam. . . . Już miały mnie zdusić. . . . "Pod Twoją obronę uciekamy się święta Bożą Rodzicielko . . . ." — na chórze szeptana modlitwa. — Panienka wyratowała. . . . . "Dzięki Ci święta Boża Ro . . ." . .

— Co ja wiem! Co ja wiem! — z akcentem dziecka, bawiącego się w starostę i mosty. — Diabła ramiona są. . . . Są słone! Słone! Słone! — krzyczała rozdzierająco.

— Ha, ha, ha — od śmiechu przeszła w szloch głośny i mokry słonymi łzami, które ze złością rozmazywała po twarzy, chcąc koniecznie zniszczyć "pot diabelskiego ramienia", jak je teraz określiła.

Wrzucono ją w ciemną lukę strasznego, czarnego pudła. Nie wie jak długo nie

widziała dziennego światła. Dni, tygodnie, miesiące, może lata całe przemijały skrzypieniem spróchniałych brewion żaglowca i kołysaniem pełnym wymiotów i smrodu. Zresztą, nawpół była żywą, mało co dochodziło do jej świadomości. Chyba tylko najgłębsze przeżycie, w serce wżarte bolesną szramą.

Wspomnienie miłosne. Na tle stogu siana Jaśko w rozpiętej koszuli. Tulił ją do nagiej piersi. Jakoż nie miało jej być dobrze? Jakoż nie miała się czuć szczęśliwą?

Po nocach pachnących i Jaśkiem i sianem z rozkoszą przeciągała swe ciało jak teraz ten statek, lubieżnie mruczący w ramionach wody . . . . przeciąga się z burty na burtę, z boku na bok.

Czy zobaczy jeszcze Jaśka? Przeczucia mówią: tak, zobaczy. Rozsądek powściągliwszy, zaprzecza. Nie łudź się. Przecież wyraznie mówił na odjezdne:

— Nie jedź. Gdzie ci się tam po świecie włóczyć? Poniewierka, zgorszenie. Zostań! Pobierzemy się . . . .

— Jedź ze mną.

— Wiesz, że nie mogę. Najstarszym jestem. Ziemi pilnować mistrza!

Miłosne spojrzenie zatoczył nad pólkiem chudym, mizernym, — ojcowym.

— Tak, ty masz obowiązek. Musisz zostać! Musisz pilnować! Trwać! Ale ja? Nie będę rodzić dzieciaków dla niemieckich zbirów!

Oboje mieli rację. Godzili się i rozstawali w zgodzie.

— Ale Jaśku, gdyby . . .? — ostatnie jej słowa.

— Wszystko w rękach Boga — odpowiedział za niego przysłowiowy raczej rozsądek chłopski niż własne przemyślenie.

Wiara w łaskawość dobrego Boga podtrzymywała w niej nadzieję, że się znów zobaczą. O ile więc przeżyła trudy podróży i jeszcze wiele więcej ciężarów przedźwignęła na swoich barkach — to, to . . . dla Jaśka.

Ameryka witała ją bujną dziewiczością natury. Gdy Apolonia wyszła na ląd, musiała odśmiechnąć się słońcu, pełnemu jasności i gorąca.

Nie witała jej jednak Statua Wolności . . . tej jeszcze nie było.

Nowa męczarnia: przemierzanie tysiąca i kilkuset mil bezkresów nowego świata, ażeby znaleźć się w Milwaukee, mieścinie całkowicie opanowanej przez Niemców. Od nich znów była zależna.

Owczesne Milwaukee znajdowało się w okolicach dzisiejszej Juneau Ave. Tu było centrum, ta dzielnica obecnie najpodrzędniejsza, brudna, zamieszkiwana przez murzynów, imponowała ogromem i osiągnięciami urbanistycznymi. O południowej stronie miasta, o polskim "*southsidzie*" nikomu się nawet nie śniło. Moczary i lasy zalewały i Mitchell ulicę i Lincoln i Oklahoma. Sen z oczu spędzały tatuowane twarze Indian, napadających na sadyby białych.

Lata biegły. Apolonia trwała. Rozrosła się pracą i trudami fizycznych wysiłków w kobietę dużą jak chłop. Pionierka, zniekształcająca swą krasę dziewczęcą, powab kobiecy w służbie nowemu państwu.

Harówka codzienna — jej poezją i muzyką, usypiającą serce, które — widać — nie do kochania zostało stworzone, lecz do czynności fizjologicznych, naturalnych: pompowania krwi i roznoszenia pokarmu do mięśni. Mięśnie muszą być silne jak stalowe postronki i zawsze napięte roboczą gotowością. Godziła się z losem i właśnie w dniu, w którym łudzenia się na przyjazd Jaśka miała wyrzucić ze swoich modlitw, corannych, cowieczornych — przyjechał.

— Jaśko przyjechał — wołała do każdego napotkanego człowieka.— Jaśko mój . . . — rumieniła się jak podlotek. Trochę śmieszne wrażenie. Kobieta-olbrzym i podlotek. W jednej osobie.

Jan Boruta, wmieszany w ruch powstańczy 1863-ego roku, gdy powstanie zgniecione, nie miał poco w kraju siedzieć. Poszukiwany — ukrywał się po lasach. Wiecznie dziko żyć nie będzie. Uciekł. I oto jest, razem są. Pobrali się i pracują wspólnie. Ponadto, wespół z większą już gromadką polską, przystąpili do budowy własnego kościółka. Od gąb odejmowali sobie — byle mieć gdzie Pana własnego chwalić.

Pierwszym proboszczem był ksiądz Polak, spoczywający na cmentarzu św. Wojciecha. On i jego następcy, których coraz więcej, bo i parafij przybywało. Leżą na wzgórzu cmentarnym, cichym, spokojnym, wyniesieni na nie znojem i potem ludu polskiego, który o sobie zapomniał — nigdy o Bogu i nigdy o księdzu.

. . . .

Największa i najklasyczniejsza w świecie bazylika — po rzymskiej Bazylice św. Piotra — wyrosła w sercu milwauckiej Polonii. Bazylika św. Jozafata. Wznoszono ją 30 lat. 1840 miejsc siedzących. Ołtarze i pulpity marmurowe. Malowania ścian dziełem, a jakże, włoskich mistrzów. Importowanych specjalnie!

Kościoły są, kościoły rosną, a lud ciągle roboczy, ciągle przepracowany i niepamiętający o sobie.

. . . .

Była wyspa Jonasza, bogata, kaszubska, wierna kopia wioski nadbałtyckiej — eksmitowano; musiała upaść.

Kilkaset chat stylowych, dom gminny, kancelaria, sale taneczne, wszystko utrzymane w tonie, który grał w sercach przeniesionych znad brzegów bursztynowego morza. Od Gdańska i Gdyni, która wioseczką była maleńką. Rządzili się sami, twardym a uczciwym prawem morza. Jastarnia? Raczej Hel. A z wody-Puck. Nie mieli przecież morza prawdziwego, tylko jezioro ogromne Michigan.

Władał "książę" niepodzielny pomorski, oddany z ludem swym majestatowi Korony polskiego króla, korony, której wówczas mnie było. Czasy niewoli Ojczyzny. Nawet dostojnego nie było cylindra na głowie prezydenta wolnej Polski. Były potrójne w rodzaju znaki widome ciemiężstwa, więc "książę" wywieszał na płotach zagród gorące do ludu imieniem swoim i podległych a wolnych obywateli, przynależność do Polski.

Nic dziwnego, że owe manifesty kłuły w oczy niemieckich "współamerykanów". Nie rozumieli demokracji. Trochę ich żal . . . . upośledzeni.

Każde miasto, by zyskać światową sławę, musi mieć w sobie coś szczególnego. Jedno słynne wystawianiem corocznej Paschy, inne bajecznym obchodem winobrania. Milwaukee mogło zasłynąć wyspą świętego Jonasza, gdyby nie pośpieszono się zbytnio z jej usunięciem. Pielgrzymkami setek ludzi w nieznanych, dziwacznych strojach, ciągnącymi — z kapelą na czele — poprzez zamarzłe wody Michiganu do miasta: do kościoła skromnie, w procesji poważnej czy w radości jakiegoś weseliska lub fety.

Wyeksmitowano.

Proces zanikania dawnej świetności trwał kilkanaście lat. Bronili się wyspiarze, włóczono ich po sądach, ogłupiano. Wykiwano.

Ze dwie chaty może jeszcze stoją. Lecz i tego nie można być pewnym. Garnek olbrzymi przy garnku wielkich cystern z olejem z benzyną. Wyspy niema; połączona z lądem. Dawni mieszkańcy, ci co jeszcze żyją, osiedleni na So. 4-ej ulicy i na północnej stronie Milwaukee. Wspominają dawne, dobre czasy, które rozwiały się jak dym, wypuszczany z fajek o dużych, porcelanowych cybuchach.

. . . .

Tragizm, po stokroć tragizm. Że też ci Polacy nie mogą się zdobyć na hardość, na silne uderzenie pięścią w stoł i powiedzenie: Należy się nam za sto lat naszej pracy. Musimy mieć za stuletnią ofiarę naszej krwi, którą broczą napewno szczodrzej niż inne narodowości.

Spójrzmy do statystyk. Poznajmy ich wymowę. Niech już wreszcie wiadome będzie wszystkim, że w procenty ujęty wkład do każdej wojny określa się najliczniejszym w szeregach Armii Amerykańskiej udziałem Polaków.

Pomińmy nawet legendarne dla walk o wolność Stanów Zjednoczonych nazwiska generałów Kościuszki i Pułaskiego, pomińmy Krzyżanowskich i Karge'ych, a patrzmy otwartymi oczyma na teraźniejszość krwawą i straszną pierwszej wojny światowej i obecnej wojny. Któż wydobywa z potoków łez, z rozszarpanych ciał, z rozlanych mózgów nadzieję ostatecznego zwycięstwa i szczęścia?

Prości: khaki żołnierz i szary robotnik, liczeni w miliony amerykańskich Polaków!

Niestety, nie potrafią się zdobyć na słuszną męskość i dlatego są zawsze przechytrzeni. Wyzyskani i poniżeni zawsze. I czy stan ten, niezdrowy i gorszący, nigdy nie ulegnie zmianie?

Jakaż siła utrwaliła go w . . . . wieczystość?

. . . .

Niedługo trwało Apolonii z Jaśkiem pożycie. W dziesiątą rocznicę ślubu uległ wypadkowi przy pracy: przygniótł go fabryczny wóz. Wyciągnęła Apolonia z banku skromne oszczędności na pogrzeb okazały a godny pierworodnego syna gospodarskiego, Jana Boruty. Ksiądz całą drogę szedł. I mowę miał żałobną o zmarłym Jaśku, "któregośmy wszyscy znali jako dobrego syna świętego kościoła, ofiarnego, pracowitego i przykładnego jako męża, co poświadczyć może . . ."

Apolonia odchodziła od zmysłów. Nic nie chce poświadczać. Życie trzeba zaczynać od nowa, od niczego. Bo cóż miała ponad pary rąk, zdolnych do pracy? Oprócz sił i zdrowia, których nie poskąpił jej Bóg? Cóż miała?

W miarę opowiadania, Apolonia Kwiat stawała się coraz słabsza. Lepiej, żeby nie mówiła więcej. Odpoczęła.

— Nigdym nie odpoczywała . . . Powiedzieć wszystko muszę . . . Moja ostatnia spowiedź . . . Muszę się spieszyć, bo nie zdążę . . . Muszę . . .

Drugi Apolonii mąż był z pochodzenia Niemcem. Dobrym Niemcem. I katolik. Jemu zawdzięcza, że nie umiera teraz na barłogu i w nędzy. Nauczył ją realizmu, dbania także o siebie.

— Pracujemy poto, by nam lepiej było — mawiał.

Nie był zbyt pochopny z ofiarami, oddawał tyle tylko, ile mu zbywało, drobne, które wydałby na piwo czy wódkę w knajpie. Gdyby pił. Ale nie pił, względnie bardzo rzadko.

Stosunek jego do Niemiec — obojętny. Najzupełniej! Prawdopodobnie nosił w sobie jakiś żal. Musiała go z Ojczyzny wygnać niezwykła przygoda; niedomowienia kazały się tego domyślać. Nigdy jednak nie wyjawił całej tajemnicy. Matkę miał Czeszkę; nieraz

(*Dokończenie obok*)

z serdecznością wylaną opowiadał o niej. O ojcu nie wspominał ani jednym słowem.

— Był dobry. Dopatrywał się we mnie podobieństwa do swojej matki. Sądzę, że Bóg nie weźmie nam tego za złe, iż kupiliśmy sobie domek. Że mieszkaliśmy jak ludzie w czasach, gdy proboszcz żądał koniecznie pieniędzy na nową plebanię czy też nowe, marmurowe stacje Męki Pańskiej — nie pamiętam okazji. Dość, że z ambony głośno potępiał. . . . Palcem wskazywał.

Drugi mąż Apolonii także zginął w nieszczęśliwym wypadku w fabryce. Panie świeć nad jego duszą. . . . Po trzecim pozostało nazwisko.

Zamilkła. Silnie i jasno spojrzała na księdza. Wiesław Król zrozumiał, że trzeba wyjść. Przeszedł do sąsiedniego pokoju, dokąd dobiegł nagły wybuch szlochu córki pani Apolonii i szept ostatnich modlitw księdza.

Tak odeszła, 102 lata przeżywszy, Apolonia Kwiat, jedna z najpierwszych emigrantek polskich w Milwauke.

H. W. DZIULIKOWSKI.

KSIĄŻKA

CZAS NA WIELKOŚĆ

Książka Herberta Agara — "*A Time for Greatness*"[1] — — "*Czas na wielkość*" — należy do najpopularniejszych książek obecnej wojny, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w W. Brytanii.

Kim jest autor tego niedużego tomu, który doczekał się na obu półkulach takich opinii jak: "najwybitniejsza książka obecnej wojny", lub "jedno z najciekawszych dzieł napisanych w ciągu ostatnich lat trzydziestu"?

Herbert Agar, komandor marynarki Stanów Zjednoczonych w poprzedniej wojnie, jest jedną z bardziej dynamicznych postaci współczesnego życia politycznego Ameryki. Przyjaciel prezydenta Roosevelta, redaktor poczytnego i na wysokim poziomie postawionego dziennika "*Louisiana Courrier Journal*", jeden z twórców "*Ligi Obrony Ameryki przez pomoc W. Brytanii*", przekształconej po przystąpieniu St. Zjednoczonych do wojny na instytut pod nazwą "*Freedom House*", w chwili obecnej "*public relations officer*" przy attachacie morskim ambasady U.S.A. w Londynie.

Stanowisko to nie stoi w żadnym stosunku do znaczenia i wpływów komandora Agara, zdobytych artykułami, odczytami oraz osobistymi wpływami w amerykańskim świecie politycznym. Jest on jednym z charakterystycznych dla tego świata zjawisk ideologa-apostoła, w typie podobnym nieco do wiceprezydenta Wallace'a. Obaj naprawdę wierzą w to co mówią i piszą, a przekonania swe gotowi są wcielać w życie z konsekwencją intelektualistów, a zapałem i dynamiką entuzjastów. Jest coś z apostolskiego zapału w ich podejściu do wyznawanych idei, coś z kaznodziejskiej powagi w ich głoszeniu. Obaj poza tym są dobrymi mówcami i wytrawnymi pisarzami, przy czym Agar obdarzony jest niemal chestertonowską zdolnością do paradoksalnych porównań oraz zmysłem formuły dającym mu możność pisania *sloganami*, łatwo przyswajalnymi przez pamięć i wyobraźnię ludzką.

Przeżywamy obecnie — twierdzi Agar w swej książce — niejako "chwilę osobliwą", zawieruchę dziejową, będącą wynikiem kryzysu moralnego, jaki świat przechodzi od dwu pokoleń. Kryzys moralny spowodowany jest załamaniem się wiary w podstawowe wartości naszej cywilizacji, wskutek czego ludzkość cofnęła się w swym rozwoju tak, iż obecnie stanęła na punkcie, którego przekroczenie oznaczałoby runięcie w przepaść barbarzyństwa i cynizmu. *Doctor Jeckyl* dwoistej natury ludzkiej był w poważnym niebezpieczeństwie ulegnięcia przemocy zbrodniczego *Mr. Hyde'a*. Wprawdzie kryzys wydaje się być zażegnany, jednak cywilizacja nasza ciągle jeszcze pozostaje na niebezpiecznym zakręcie. Uratowanie jej od niebezpieczeństwa cofnięcia się niemal do epoki jaskiniowej jest — twierdzi Agar — zadaniem naszego pokolenia które może pchnąć ją na drogi wspaniałego rozwoju, lub też pogrzebać zupełnie. Osobliwość przeżywanej chwili i tkwiące w niej możliwości są do pewnego stopnia właściwością wszystkich okresów wielkich przemian i przewrotów, gdy warunki społeczne i polityczne, pojęcia kulturalne i gospodarcze, raz upłynnione tym łatwiej mogą być kształtowane na nowo.

Pokolenie nasze, które raz już przeżywało podobny okres, po pierwszej wojnie światowej, obecnie ma niezwykły przywilej otrzymania historycznego mandatu na przebudowę świata. Żadnemu innemu pokoleniu — powiada Agar — nie dane było dostąpić takiego zaszczytu, stanąć w obliczu tak wielkich i zaszczytnych, ale zarazem tak herkulesowo trudnych zadań. Dorość do wielkości przeżywanej chwili — oto nasze brzemię naszego pokolenia.

Przeciwnicy nasi mają zadanie nieporównanie łatwiejsze. Im wystarczy wygrać samą wojnę. Nas czeka jeszcze przebudowa świata na obraz i podobieństwo naszych ideałów. Na to abyśmy byli zdolni do tego zadania, musimy się przygotowywać już obecnie, wykorzystując okres cierpień, prób i doświadczeń dla polepszenia i udoskonalenia samych siebie. Żadne najmądrzejsze choćby instytucje międzynarodowe, czy ustroje wewnętrzne nic nam nie pomogą jak długo uprawa dusz ludzkich pozostanie zaniedbana.

Omawiając momenty historyczne z okresu ubiegłego "*międzywojnia*", gdy losy świata ważyły się w zależności od decyzji narodów czy też nawet poszczególnych jednostek, Agar dwukrotnie cytuje Polskę jako kraj, który we właściwej chwili potrafił dorość do do swej misji moralno-dziejowej.

Gdy Hitler, w marcu 1936 roku, złamał Układy Lokarneńskie i obsadził Nadrenię, "*wszyscy skarżyli się na złamanie paktu, a tylko jedna Polska oświadczyła, że wystąpi zbrojnie przeciwko Niemcom, jeżeli uczyni to również Francja. Ale głos Polski był głosem wołającego na puszczy*".

Po raz drugi Agar cytuje przykład Polski i Jugosławii, jako dwóch krajów, które zdały sobie we właściwym momencie sprawę z ciążącej na nich historycznej odpowiedzialności nie tylko za siebie, ale i za losy całej ludzkości.

I tu autor uderza w ton mesjanizmu niemal Mickiewiczowskiego.

"*Było konieczne* — wola — *aby Polska walczyła i uległa w walce, by Jugosławia oparła się najeźdźcy z bronią w ręku i była pokonana. Oba te kraje mogły z łatwością wybrać dla siebie pokój. Wybrały jednak walkę i chwilowe zejście do grobu. Przez swą walkę żyją one wraz z wartościami, o które toczy się walka, a sprawa ich jest kamieniem młyńskim, ciążącym na sumieniu ludzkości. Oba te kraje mają przed sobą przyszłość, o ile świat ma jakąkolwiek przyszłość w ogóle*".

Zadanie wytępienia brutalnych i cynicznych sił, które ujarzmiły ludy Europy i Azji, oraz wyplenienie szerzonych przez nich idei i zastąpienie ich naszymi — oto zadania naszego pokolenia w największym skrócie.

Nie jestem — pisze Agar — optymistycznym liberałem, ale wierzę w wolną i rozsądną wolę człowieka i mam prawo przypuszczać, iż świat ten nie jest domem wariatów. Cywilizacja nasza ma wielką przyszłość, pomimo klątw i złowróżbnych przepowiedni Marxa i Spenglera — pod warunkiem, iż pokolenie nasze da ze siebie wysiłek konieczny do odkupienia błędów przeszłości i przebudowy moralnej świata.

Droga do poprawy moralnej ludzkości wiedzie nie przez reformy gospodarcze, rozumiane jako *panaceum* na wszystkie bolączki naszych czasów.

Tak jak najbardziej choćby skuteczna maść nie uzdrowi naszej krwi, tak cierpieniom ludzkim natury moralnej nie można zaradzić jedynie przez podniesienie poziomu życia i rozbudowę urządzeń sanitarnych. Reformy gospodarcze mają swoje miejsce w rzędzie innych, ale wcale nie pierwsze.

Reformy polityczne muszą wyprzedzać ekonomiczne.

Ustrój polityczny nie może opierać się na sile, lecz musi mieć swe korzenie w świadomości moralnej społeczeństwa i posiadać zgodę rządzonej zbiorowości.. Władza wykonawcza winna być kontrolowana i krytykowana przez przedstawicielstwo rządzonych. Tutaj jednak autor opowiada się przeciwko *demokracji bez ograniczeń*, bez przymiotników. Jest on zwolennikiem "demokracji oświeconej" — "*educated demokracy*", ustroju, w którego zarysie spostrzegamy odblask platońskich idei o państwie. W imię właściwego funkcjonowania takiego ustroju opowiada się on za udzieleniem pełnych praw — politycznych — wpływania na losy państwa tylko grupom i warstwom posiadającym właściwe kwalifikacje umysłowe i podstawy egzystencji gwarantujące korzystanie z tych praw w sposób właściwy.

Wolność rozsądnie pojęta winna być podstawą ustroju.

Trzy rodzaje równości są niezbędnym wyrunkiem wolności i postępu:

1) równość startu i możliwości życiowych (*equality of opportunity*);

2) równość dostępu do zdobyczy kultury i cywilizacji.

3) równość ochrony przeciwko nadużyciom władzy państwowej, zarówno pod względem politycznym jak i gospodarczym.

"*Te idee* — powiada autor — *zawierają już w sobie pojęcie demokracji, wolności i poszanowania w jednostce ludzkiej pierwiastka boskiego*".

Książka komandora Herberta Agara jest ciekawa przez to, że odbija poglądy ruchliwej intelektualnie, a dynamicznej organizacyjnie grupy ludzi bliskiej szczytów obecnej roosoveltowskiej administracji, która, niezależnie od układu sił po przyszłorocznych wyborach prezydenckich, przez organizacje i instytucje przez siebie stworzone, wywierać będzie duży wpływ na bieg polityki amerykańskiej.

Z punktu widzenia europejskiego ważne jest, iż grupa ta, w dziedzinie polityki zagranicznej, zdaje sobie sprawę z błędów popełnionych przez St. Zjednoczone w czasie "międzywojnia" i potępia herezję izolacjonizmu, a gotowa jest na współpracę z Europą w dziedzinie budowy nowego porządku międzynarodowego, politycznego i gospodarczego.

K. BYLINA

[1] Herbert Agar: "*A Time for Greatness*". Eyre and Spottiswoode. 7s. 6d.

Listy do Redakcji

POMYŁKI P.A.T.—ej w Londynie

Do
Redakcji "Myśli Polskiej" w Londynie.

Obecnie dopiero otrzymaliśmy nr. 40 "Myśli Polskiej" z 15–31 stycznia b.r., zawierający m.in. uwagi dotyczące stosunku opinii tureckiej do zagadnienia polsko-sowieckkiego. Ponieważ komentarz, którym redakcja opatrzyła cytatę z dziennika tureckiego "**Son Posta**" mógłby wywołać w kołach polskich błędną ocenę stanowiska Turcji, pozwalam sobie wyjaśnić sprawę, polegającą zresztą na nieporozumieniu.

Mianowicie, cytowane przez Panów uwagi dziennika "**Son Posta**" o sprawie granicy wschodniej Polski, zostały najwidoczniej zniekształcone w transmisji telegraficznej. Ustęp ten bowiem, brzmi w istocie, w dosłownym tłumaczeniu, jak następuje:

"Prawdę mówiąc zagadnienie polskich granic wschodnich jest punktem decydującym o przyszłości całej wschodniej Europy".

Wobec wyrażonych przez "**Myśl Polską**" wątpliwości co do stanowiska prasy tureckiej w ogóle wobec spraw polskich, dodaję przy sposobności, że prasa ta z jednomyślnością wręcz uderzającą popiera zasadę nienaruszalności granic Polski. Jeśli nie liczyć bardzo rzadkich zresztą głosów, inspirowanych w jednym z dzienników tureckich przez wrogą nam propagandę, można stwierdzić, że cała bez wyjątku prasa turecka popierała i popiera bez zastrzeżeń polski punkt widzenia w sprawie naszych granic wschodnich. W ciągu ostatnich trzech miesięcy ukazało się w prasie tureckiej około 100 artykułów, utrzymanych w tym duchu.

Sądzę, że wyjaśnienie to uspokoi obawy Panów co do stanowiska prasy tureckiej oraz zapobiegnie, być może, na przyszłość zbyt pochopnym sądom o działalności polskich placówek zagranicznych.

Stefan Werner

Stambuł, 18.V.1943.
Biuro Prasowe
Ambasady R. P. w Turcji
nr. 56/43.

Od Redakcji: List dr. Stefana Wernera należy uzupełnić pewnymi szczegółami. A mianowicie, tekst cytatu z dziennika tureckiego **Son Posta** który nas zaniepokoił, w relacji P.A.T. — ej ze Stambułu brzmiał:

"Prawdę mówiąc, zagadnienie polskich granic wschodnich zupełnie nie jest decydujące dla przyszłości Europy Wschodniej".

"**Myśl Polska**" nie prenumeruje serwisu P.A.T. — ej i zanotowała powyższe wypowiedzenie za **Dziennikiem Polskim** z dn. 13 stycznia 1943, co zresztą zaznaczono w naszym tekście, który doszedł dr. Stefana Wernera w Stambule. Wobec tego Redakcja "M.P." nie myli się zapewne przypuszczając, że dr. St. Werner zwrócił się z odpowiednimi przedstawieniami pod adresem londyńskiej Centrali P.A.T. — ej oraz **Dziennika Polskiego.** Nie było nigdy zamiarem "**Myśli Polskiej**" wypowiadać "**zbyt pochopne sądy o działalności polskich placówek zagranicznych**", w tym wypadku zaś nasi urzędowi **confreres** — po piórze — w Stambule zechcą łaskawie wziąć pod uwagę, że "**Myśl Polska**" cytowała *tekst* z urzędowego **Dziennika Polskiego** i z urzędowej **Polskiej Ajencji Telegraficznej.**

W ten sposób wyjaśniona zostaje sprawa co do stanu rzeczy w Stambule i tylko cieszyć się wypada z relacji dr. Wernera o stanie sprawy polskiej w opinii tureckiej.

Pozostaje natomiast do zanotowania fakt, że londyńska centrala P.A.T. — ej wypuściła tekst tak niezgodny z tekstem stambulskim, iż nie tylko znalazło się w nim przeczenie zamiast twierdzenia, ale i wzmocnienie tego przeczenia przez dodanie słowa "**zupełnie**". Czy można przypisać to "**zniekształceniu w transmisji telegraficznej**"? Zniekształcenie, które odnosi się do najaktualniejszej i najbardziej bolesnej dla Polaków sprawy, nie może być przypadkowe. Na innym miejscu niniejszego Nr. — u "**Myśli Polskiej**" wymieniamy inne "**zniekształcenia**" wychodzące z londyńskiej centrali P.A.T. ej. Tam też notujemy konkluzje.

ZWIĄZEK ARTYSTÓW SCEN POLSKICH GNIAZDO LONDYN

Zawiadamia że biuro Zarządu mieści się obecnie w gmachu Ogniska Polskiego, 45, Belgrave Square, S.W.1. — IV p. pokój 27. — Telefon: Sloane 0993.

Dyżury: poniedziałki, środy, piątki od 10–1 rano i piątki od 3–5 — tej pp.

KSIĄŻKI I BROSZURY OTRZYMANE

Od Redakcji: Recenzje z nadsyłanych książek i innych wydawnictw ukazywać się będą stale w miarę miejsca w naszym czasopiśmie.

Ksiądz Stanisław Targosz: **POLONIA KATOLICKA W STANACH ZJEDNOCZONYCH W PRZEKROJU,** z przedmową J.E. Kd. Biskupa Stefana S. Woźnickiego, nakładem autora, Detroit, Michigan, 1943, str. XV i 99.

JOURNAL OF CENTRAL EUROPEAN AFFAIRS, April 1943, Managing Editor, University of Colorado, Boulder, Colo., U.S.A.

Bohdan Pawłowicz: **O.R.P. GARLAND IN CONVOY TO RUSSIA,** Surrey Press, Ltd., Mitcham, Surrey, 1943, str. 79, liczne fotografie w tekście.

Pius XI Papież: **ENCYKLIKA O CHRZEŚCIJAŃSKIM WYCHOWANIU MŁODZIEŻY (DIVINI ILLIUS MAGISTRI),** nakładem **Wydawnictwa Dokumentów Nauki Kościoła** Londyn 1943, drukiem F. Mildner & Sons, Herbal Hill, E.C.1, str. 40, cena 2/6.

Pius XII Papież: **PODSTAWOWE ZASADY ŁADU W PAŃSTWACH** (Allokucja wygłoszona przez Radio Watykańskie do narodów w Wigilię Bożego Narodzenia 1942 r. oraz Dodatek — **LEONA XIII PAPIEŻA ENCYKLIKA DO BISKUPÓW POLAKOW** (19 marca 1894 r.), nakładem i drukiem jak wyżej, Londyn 1943, str. 39, cena 2/–.

EKONOMISTA POLSKI Nr. 5 (styczeń-marzec 1943), wydawnictwo Zrzeszenia Ekonomistów Polskich w Zjednoczonym Królestwie, skład główny: M. I. Kolin (Publisher) LTD., 9 New Oxford Street, London W.C.1, str. 145, cena 3/6. (Artykuły: Prof. Tadeusza Brzeskiego, dr. W.Ł., Rowmunda Piłsudskiego, prof. E. Szturm de Sztrema; bogaty dział "Zagadnień bieżących", recenzyj i informacyj gospodarczych z okupowanej Polski oraz z całego świata).

Roman Umiastowski: **BITWA POLSKA** (Przygotowanie i przebieg wojny niemiecko-polskiej w 1939 r.), zeszyt czwarty — przedostatni) dotąd razem str. 348, cena za całość 15/– na adres autora: 9 Heath Close, Golders Green, Middlesex.

SPRAWY ŚLĄSKA CIESZYŃSKIEGO — Biuletyny odbijane na cyklostylu **Koła Ślązaków Cieszyńskich**: Nr. 1 "Sprawy gospodarcze", Nr. 2 "Szkic Historyczno-etnograficzny", Nr. 3 ("Śląsk Cieszyński a drogi ekspanzji niemieckiej na wschód", Nr. 4 "Ludność w świetle statystyk", Nr. 5. "Konferencja pokojowa 1918–20", No. 6 ((Polsko-czechosłowackie stosunki na emigracji 1939–1943" r.)

PROGRAM POLSKIEGO ZJAZDU KATOLICKIEGO W LONDYNIE

28 czerwca 1943:

godz. 8–15 Zgłoszenia przybywających uczestników Zjazdu w Ognisku Polskim, 45, Belgrave Square, S.W.1.
godz. 16 Nabożeństwo w Brompton Oratory, Brompton Road, S.W.7
godz. 17 I Plenum (Ognisko Polskie)
a) Zagajenie Zjazdu
b) Wybór Marszałka Zjazdu i Assesorów.
c) Przemówienia okolicznościowe i powitalne
d) Referat przewodniczącego Komitetu Organizacyjnego
c) Wybór przewodniczących Komisyj
godz. 20, 30 Zebranie towarzyskie

29 czerwca 1943:

godz. 8, 30 Msza Św. i Komunia Św. (Brompton Oratory)
godz. 10 Obrady Komisyj (Ognisko Polskie)
godz. 13–14 Przerwa obiadowa
godz. 14 Dalsze obrady Komisyj
godz. 17 Podwieczorek
godz. 18 II Plenum
a) Uchwalenie tez Zjazdu
b) Uchwalenie tekstu depeszy do Ojca Św.
c) Zamknięcie Zjazdu

Uwaga 1. Dla osób, które pragnęłyby przystąpić do Sakramentów Świętych, odbędzie się spowiedź w języku polskim w Brompton Oratory dnia 28 czerwca o godz. 15.

Uwaga 2. Szczegółowe programy i tezy referentów Zjazdu zostaną rozesłane dodatkowo.

KOMISJE ZJAZDU

1. CZŁOWIEK — Godność i prawa osobowości ludzkiej.
referent : O. Innocenty M. Bocheński, O.P.
koreferent :

2. RODZINA — Obrona jedności społecznej, a specjalnie rodziny,
referent : Prof. Stanisław Grabski.
koreferent : Zofia Zaleska.

3. KWESTJA SPOŁECZNA — Porządek społeczno gospodarczy i godność pracy.
referent Dr. Stanisław Ożga,
koreferent : Red. Stanisław Sopicki.

4. PAŃSTWO — Organizacja państwa w myśl doktryny chrześcijańskiej.
referent : Prof. Paweł Skwarczyński,
koreferent : Dr. Zbigniew Szydłowski.

5. MIĘDZYNARODOWY ŁAD — Odbudowa ładu międzynarodowego.
referent : Red. Jan Rembieliński,
koreferent : Mjr. Dypl. Marian Utnik.

TREŚC Nr. 48 "Myśli Polskiej":

MYŚL POLSKA

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.
Redakcja i Administracja:
92, Eamont Court, Regent's Park, London N.W.8 Telephone: PRImrose 4350.
Prenumerata kwartalnie (6 numerów): 6/– lub $2.
Prenumerata półrocznie (12 numerów): 12/– lub $4.